



Fot. Cezary Krupa

Jan Tomaszewski specjalnie dla „Kamena”

str. 12

„Perfect”

str. 10

Dyskretny urok samochodu

str. 8-9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamena



NR 1 (768)

2-15 stycznia 1983

CENA 10 ZŁ

W biegu

ROZMOWA

Z PROF. WIESŁAWEM SKRZYDŁO I SEKRETARZEM KW PZPR W LUBLINIE

— Podczas naszej pierwszej rozmowy, w lipcu br., sformułował Profesor zarys swego programu, dzielił się wątpliwościami, uwagami, odpowiadał na pytania zupełnie osobiste. Dziś przyszedłem do Profesora, żeby porozmawiać o mijającym roku. To tak najogólniej, później to sobie uszczegółowimy. Chciałbym spytać, czy reguły gry z pierwszej rozmowy są aktualne? Czy ma być bez koturnów i bizantyjskich ukłonów?

— To chyba jasne...

— No, nie tak bardzo. Oprócz głosów pozytywnie oceniających „ludzki charakter” rozmowy byli i tacy, którzy uważali, że tak się z szefem Instancji nie powinno rozmawiać, że forma była frywolna, że niby dlaczego układał Profesor na zdjęciu kostkę Rubika, że dlaczego pisało się o dżinsach „Wrangler”, które są produktem burżuazyjnym, że...

— Pozwoli redaktor, że przerwę. Nie nie poradzimy na takie gadanie. Zapewnić o potrzebie szczerości nie widzę potrzeby. A we „Wranglerach” po pracy będą chodzić, bo są po prostu wygodne, mimo że amerykańskie. Doszły mnie słuchy, że kostka też jest burżuazyjna, ale to się akurat nie zgadza, bo jest węgierska...

— Udziela Profesor wielu wywiadów różnym piśmom prezentującym różne poglądy, postawy i różnie odbieranym. Czy nie odmawia Profesor nikomu?

— Istotnie, w ciągu ostatnich pięciu miesięcy odwiedził mnie dziennikarze z „Kamena”, „Kurier Lubelski”, „ITD”, „Sztandaru Ludu”, „Rzeczywistości”, „Argumentów” i „Kierunków”. Z kilku innych telefonowali, żeby się umówić. Moja postawa w sprawie kontaktów z prasą jest prosta. Uważam, że porozumienie bez dialogu jest niemożliwe, a skoro mówimy, że tego porozumienia chcemy, to powinniśmy rozmawiać z każdym niezależnie od jego poglądów, czy intencji powodujących chęć rozmowy. Dlatego nie odmawiałem dotąd nikomu, pod warunkiem, że przedstawi mi zapis wywiadu do autoryzacji.

Dokończenie na str. 3



Fot. Waldemar Stępień

Lepszego Nowego Roku życzy **Kamena**



roku szkolnego we wrześniu mógł się ukazać pierwszy numer pisma. Bez żadnej dyskusji przez akklamację orzeknięto na wniosek jednego z kolegów, że ja będę redaktorem, a Waśniewski zostanie skarbnikiem, administratorem i „wydawcą”.

— I grafikami! — dodałem — bo w każdym zeszytce musi się znajdować wkładka linorytowa. — Oczywiście pracować będziemy honorowo. Uchwaliliśmy, że pismo będzie miesięcznikiem, ukazującym się od września do czerwca (10 numerów) z przerwą wakacyjną należąca dziecku nauczycielskiemu. Na razie jeszcze nie ustaliliśmy jego nazwy.

ZAPEWNE nasi Czytelnicy zauważą, że na winiecie tytułowej „Kamena” pojawił się ten oto czarny stempelek przypominający, iż pismo obchodzi w tym roku nie tak znów częsty w polskiej prasie jubileusz — jubileusz 50-lecia —

Założyciel „Kamena”, Kazimierz Andrzej Jaworski, wspominał po latach:

„Nie pamiętam daty inauguracyjnego zebrania, na którym powzięto uchwałę wydawania pisma literackiego. Rok 1933 przed wakacjami. Widzę dobrze ten słoneczny dzień czerwcowy, tuż ocienianą okno pokoju i grupę nauczycieli, wśród których znajdował się mój były uczeń. Zreferowałem pokrótce nasz projekt, o którym zresztą koledzy i przedtem coś niecoś wiedzieli. Waśniewski zaś zapoznał obecnych z budżetem zamierzonego wydawnictwa, po zasięgnięciu bowiem informacji w tutejszych drukarniach orientowaliśmy się już z grubsza, ile mniej więcej nasza impreza może kosztować.

Wszystko poszło niespodziewanie gładko, co wynikało zarówno ze zrozumienia wartości wydawnictwa tego rodzaju, jak i koleżeńskie chęci pomocy w miarę możliwości naszej inicjatywy. Tylko że, niestety, możliwości te ze zrozumiałych względów były niewielkie, a i wyolbrzymiliśmy w naszych przypuszczeniach liczbę kolegów, którzy przyjdą na zebranie, aby nam pomóc. W każdym bądź razie zebrano się wraz z nami kilka osób. Postanowiono opodatkować się na ten cel w wysokości 5—10 złotych, z tym że wpłacano by już składki za czerwiec i dwa miesiące wakacyjne, aby z początkiem występowały nieraz w poezji polskiej

i rosyjskiej zamiast Muzy, symbolizując poezję. [...]

Z tym tytułem mieliśmy potem zabawne historie. Wprawdzie w numerze drugim w sfinansowanej „odpowiedzi redakcji” powołaliśmy się na „Mitologię” Parandowskiego i cytowaliśmy jego określenie Kamena, ale wciąż trzeba było tłumaczyć, co ta nazwa oznacza. Nawet redakcje niektórych pism przysyłając egzemplarze zamienili tytuł na „Kameę” lub „Kamerę”. [...] Dowcipnie się z prawicy mieli okazję do złośliwych kalamburów: Kamena-komuna, kamenistyczni poeci itp. [...]

Licząc się z naszymi możliwościami finansowymi i nie chcąc, aby nowe pismo stało się jeszcze jedną efemerydą, która zemrze po kilku miesiącach istnienia, z góry postanowiliśmy utrzymać „Kamenę” przynajmniej przez rok, wydawać szczupłe szesnasto-dwudziestostronnicowe numery i starać się, by do następnych wakacji możliwie regularnie ukazało się dziesięć zeszytów. Nakład ustaliliśmy na 300 egzemplarzy. Liczba ta dzisiaj może się wydawać bardzo mała, ale na ówczesne stosunki, kiedy zbiorki poetyckie wydawano przeważnie w kilkuset egzemplarzach (u Kuglina w Poznaniu nawet 110) była dla pisma tego rodzaju zupełnie normalna...

Cytat ten pochodzi z książki pt. „W kręgu Kamena”, która nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazała się w 1965 roku.

50-lecie naszego pisma przypada na wrzesień, będzie więc jeszcze sporo okazji, by przypomnieć drogę „Kamena”, co ciekawsze publikacje, zamieszczane na jej łamach w okresie półwiecza i twórców, którzy byli z nią związani. Na razie wróciliśmy do tego inauguracyjnego zebrania, na którym zapadła decyzja o powstaniu „Kamena”. Postanowiono utrzymać ją przynajmniej przez rok. Przynajmniej...

Zwrócę uwagę na jedną znamieną okoliczność: wszyscy koledzy znali moje poglądy lewicowe, z którymi nie każdy z nich się godził, a jednak dano mi całkowitą swobodę pod względem charakteru pisma, sposobu jego redagowania i dobierania współpracowników.

Długo biedzilem się z Zenkiem (Waśniewskim — przyp. red.) nad wymyśleniem tytułu. Pamiętam, jak każdy z nas z osobna wypisywał kolumny projektów, jak potem porównywaliśmy je ze sobą. Wszelkie „Zenity” i „Nadiry”, astronomiczne „Orlony” i „Kasjopeje”, geometryczne „Elipsy”, „Trapezy” czy „Sześciiany” — odpady od razu. Pismo miało być przede wszystkim poświęcone poezji, należało więc raczej sięgnąć do mitologii. Mówiło się o „Pegazie”, „Bellerophonie” i arystostowskim „Hipogryfie”. Aż wreszcie zatrzymaliśmy się na „Siryndze” i „Kamenie”. Obie te nazwy wydawały nam się skromniejsze i nie były dotąd używane. Ostatecznie stanęło na „Kamenie”, do czego w dużym stopniu przyczyniła się ta okoliczność, że wydając przed dwoma laty „Wybór poezji” S. Jesienina w swoim przekładzie, zaopatrzyłem zbiorek w signum: „Biblioteka Kamena” nr 1 i zapowiadałem dalsze pozycje z tej serii. Poza tym Kamena występowała nieraz w poezji polskiej

Moskwa: nowy impuls pokojowy

TAM, gdzie pękło najcięższe ogniwo światowego systemu kapitalistycznego, powstało najsilniejsze, najbardziej zahartowane ogniwo nowego ustroju — jednolite, wielonarodowe państwo socjalistyczne narodu radzieckiego. Złociła się dalekowszereżna myśl Lenina. Zaowocował i pod przewodnictwem KPZR jest twórczo kontynuowany jego ogromny, organizatorski, pionierski trud — powiedział gen. Wojciech Jaruzelski na uroczystym posiedzeniu KC KPZR, Rady Najwyższej ZSRR i RFSRR zwanym z okazji 50-lecia powstania Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Mówca, zwracając się do zebranych dodał, że „nie ma dziś na świecie ani jednego narodu, ani jednego człowieka pracy, których życie nie byłoby pośrednio lub bezpośrednio współzależne od skutków wielkiego historycznego przełomu zapoczątkowanego na Waszej ziemi. Umożliwił on powstanie i rozwój światowego systemu socjalistycznego, dał mocny, nieodwracalny impuls procesowi dekolonizacji. Dzięki niemu robotnicy wielu krajów kapitalistycznych mogli wyrwać burtanę szereg ustępstw socjalnych. Od szczytu dziesięcioleci Kraj Rad stanowi bieżący magnes dla całego postępu w skali światowej”. Następnie gen. Jaruzelski oświadczył: „Fekojowa, głęboko humanistyczna polityka Związku Radzieckiego, do której niezapomniany wkład wniósł Leonid Breżniew, służy najistotniejszej sprawie naszych czasów: scaleniu ludzkości przed jądrową zagładą”.

Dzień przedtem na tejże sesji zabrał głos sekretarz generalny KC KPZR, Jurij Andropow, który zgłosił nowe, doniosłe propozycje rozbrojenowe. Andropow zaproponował, że Związek Radziecki zmniejszy liczbę swych rakiet jądrowych średniego zasięgu, znajdujących się w europejskiej części ZSRR, do poziomu potencjalnie rakietowe-

go Francji i Wielkiej Brytanii, jeśli Stany Zjednoczone zrezygnują z planów rozmieszczenia w Europie rakiet „Pershing-2” i „Cruise”. Nawiasując do argumentów rządu USA, że nie może pójść śladem ZSRR i zobowiązać się, iż pierwszy nie użyje broni jądrowej, gdyż rzekome Układ Warszawski ma przewagę w broniach konwencjonalnych, przywódca radziecki powiedział: „Przed wszystkim tak nie jest, a dowodem tego fakty i liczby. Ponadto zaś wiadomo, że epowiadamy się za ograniczeniem takich broni. Jesteśmy gotowi porozumieć się także co do tego, aby żadna ze stron nie użyła pierwszej ale tylko broni jądrowej, lecz także konwencjonalnej”.

Nowe propozycje radzieckie wywołały na Zachodzie wielkie zainteresowanie, szerokość — jak się należało spodziewać — opinie są bardzo różnicowane. Przewodniczący SPD, Willy Brandt, zapowiedział do przywódców zachodnich o sbażanie, jak te propozycje mogą zostać włączone do konkretnych rokowań. Zwrócił on też uwagę na „ważne punkty styczności” między stanowiskiem Andropowa a popieranym przez prezydium SPD kompromisowym projektem byłego amerykańskiego głównego negocjatora w rokowaniach rozbrojenowych, Paula Warnka. W samych Stanach Zjednoczonych — można sądzić — saryzowały się różnice poglądów między dyrektorem amerykańskiej agencji ds. rozbrojenia, Kostowem, a szefem delegacji USA na rokowania START w Genewie. O ile pierwszy wyraził swe rozczarowanie, o tyle drugi uznał propozycje Andropowa za bardzo obiecujące.

Jest faktem, że obłądny wyścig zbrojeń pogłębia przepaść między Wschodem i Zachodem budząc coraz większy niepokój wśród społeczeństw wszystkich krajów. Rokowania — przy braku wzajemnego zaufania — są bardzo trudne, ale stanowią jedyną drogę do napędzenia podległemu katastrofizmowi.

KRONIKA

◆ Prawie 3 tys. ton węgla uzyskano przez pierwsze dwa tygodnie eksploatacji „premierowej” ściany w kopalni w Bogdanie. No i bardzo dobrze. Nie zapominajmy wszakże, że wbrew planom, poważnie zreformowanym przez kryzys gospodarczy, różnie nam pod bokiem kolejna wersja śląskiego zagłębia, a więc oś, co może czekać się diabło uciążliwe dla ludzi i naturalnego środowiska. Niepokoje naukowców, o których pisaliśmy kilka miesięcy temu, potwierdza bieg wydarzeń na terenie LZW i aż strach pomyśleć, jak za lat kilkanaście wyglądać będą np. akweny Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego.

◆ Pan Marek Gacka kontynuuje i atrakcyjnie rozwija dobre tradycje antykwariatu Osiaka przy ul. Pałowskiemu w Lublinie. Oto niedawno uruchomił on, z okazji świąt, sprzedaż książek z pięcioprocentowym rabatem. Odnika ona niewielka, prawda, ale intrygująca spora, niejako modelowa.

◆ W ramach obchodów setnej rocznicy polskiego ruchu robotniczego odbyła się sesja „Lublin rewolucyjny”, w której uczestniczyło 100 działaczy politycznych, reprezentujących różne pokolenia. Wręczono odznaczenia państwowe, wygłoszono interesujące referaty.

◆ Lalki i projekty scenograficzne Łódzkiego Studia Małych Form Filmowych „SE-MA-FOR” pokazano w zamajskim BWA, łącząc sympatyczną wystawę z wyświetleniem kilkunastu filmów z Miałem Uszakiem, Colargolem itp. w ramach głównych. Oto jak należy wychowywać potencjalną publiczność dla „dorosłych” ekspozycji sztuki.

◆ Lubelski Oddział PTE zorganizował konferencję na temat pozycji i zadań samorządów przedsiębiorstw państwowych w warunkach reformy gospodarczej, na której pojawiło się około 30 osób z różnych zakładów województwa. Referaty były sensowne, prelegenci z Warszawy, natomiast dyskusja jakby anemiczna — może dlatego, że sala „Polmozyzu”, miejsce spotkania, okazała się zimna, bo coś tam nawaliło w instalacji co. Jak widać, warunki wprowadzania reformy bywają trudne.

◆ Za pośrednictwem „Kurier Lubelskiego” student KUL zachęcającą plastików lubelskich, zawodowych i amatorów, do gratisowego upiększenia domów opieki społecznej dziełami swego talentu. Wniosek popieramy, doręczając doń skromną sugestię: niech student historii sztuki KUL, wszak malujący, także podarują co nieco wspomnianym ośrodkom przy ul. Głowackiego i na Westlinie — jeśli, oczywiście, nie zrobili tego dotychczas.

◆ Ruchliwy, fakti rzeźnik prasowy UMCS dostarczył nam informację o działalności uniwersyteckiego Zakładu Archeologii, dzięki czemu wiemy, że nasi archeolodzy kopią intensywnie, a ich osiągnięcia znane są także poza granicami kraju. Z prasy zamajskiej natomiast dowiadujemy się, że najgłębiej kopie mgr Andrzej Kokowski z zespołem. Gdyby tak, przy okazji, dokopał się do nafty!

Stowarzyszenie Autorów im. B. Prusa

PRZY końcu grudnia 1982 r. powstał Oddział Lubelski ogólnopolskiego Stowarzyszenia Autorów im. Bolesława Prusa, organizacji twórczo-zawodowej, skupiającej autorów: książek naukowych i popularnonaukowych ze wszystkich dziedzin wiedzy, podręczników szkolnych i akademickich, tomów reportaży i literatury społeczno-politycznej o charakterze publicystycznym.

Zgodnie ze statutem, „Stowarzyszenie zrzeka na zasadzie dobrowolności pisarzy różnych profesji twórczych i różnych dziedzin wiedzy, których twórczość stanowi przedmiot prawa autorskiego i którzy współuczestniczą w tworzeniu humanistycznych, demokratycznych i socjalistycznych wartości kultury narodowej”.

Jako konkretny, organizacyjny rezultat oczekiwani i potrzeb kilku tysięcy autorów wymienionych rodzajów publikacji, stanowiących ponad 50 proc. wszystkich pozycji książkowych, ukazujących się w PRL — stowarzyszenie nie narusza i nie zamierza naruszać struktur i kompetencji istniejących związków twórczych. Integracja zawodowa, reprezentowanie interesów bytowych i ochrona praw autorskich członków, fundowanie stypendiów i pomoc socjalna, organizowanie wymiany międzynarodowej i konkursów, wydawanie własnego czasopisma (ukazuje się biuletyn pt. „Opinie”) — oto niektóre cele i zadania stowarzyszenia.

Członkiem stowarzyszenia może być każdy pełnoprawny obywatel PRL, autor przynajmniej jednej wydanej drukiem książki (lub merytorycznie ważkich rozpraw naukowych, opublikowanych w pracach zbiorowych czy w periodykach specjalistycznych).

W skład Zarządu Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Autorów im. B. Prusa weszli: red. Ireneusz J. Kamiński (prezes), prof. dr hab. Leon Jabłoński (wiceprezes), dr Adam Andrzej Witusik (sekretarz), dr Jan Lewandowski (skarbnik), doc. dr hab. Eugenia Loch (członek).

Deklaracje członkowskie (i dodatkowe informacje) można otrzymać w Polonijnym Centrum Kulturalno-Oświatowym w Lublinie, ul. Weteranów nr 18.

Dokończenie ze str. 1

— Czy tak się dzieje?

— Nie zawsze. Na przykład „Barwy”, opisując moje spotkanie z członkami klubów „Rzeczywistości”, dopuścili się zniekształceń zarówno w cytowaniu moich wypowiedzi, jak i w relacji. Nie jestem też pewien w przypadku dwóch innych tytułów warszawskich, czy po autoryzacji tekst nie uległ zmianom. Nie podaję, o które pisma chodzi, bo po prostu nie jestem pewien. Na wszelki wypadek będę zachowywał kserokopię autoryzowanego tekstu.

— Mija właśnie pierwsze pół roku pracy w budynku przy Alejach Racławskich. Co może Profesor powiedzieć o tym czasie?

— Był to czas pracowity zarówno dla wojewódzkiej instancji partyjnej, jak i osobiście dla mnie. Pracowałem przez ten czas po przynajmniej dwanaście godzin dziennie. Chciałem być jak najczęściej między ludźmi, w różnych środowiskach i w różnych miejscowościach. Myślę, że to się udało. Takich spotkań odbyłem około stu i wiele mi one dały.

— Co?

— Znajomość ludzi, ich poglądów, nastrojów. Ogólne zapoznanie ze specyfiką wszystkich ważniejszych zakładów i przemysłów w województwie. O wiele więcej rozumiem ze spraw rolnictwa, o którym miałem dość — nazwijmy to — pobieżne, potoczne wyobrażenie, przechodząc do KW. To naprawdę dużo!

— Ta obecność poza gabinetem, „udzieliła się” także innym członkom Sekretariatu KW. Tak „mobilnej” ekipy jeszcze w Lublinie nie było.

— Nie chciałbym się wdawać w oceny, czy rzeczywistość Sekretariatu jest najbardziej „mobilną”, ale pewne jest, że wszyscy sekretarze KW widzą potrzebę takiego pozagabinetowego stylu pracy i takiego pozapapierowego widzenia spraw ludzi i województwa. W naszej poprzedniej rozmowie powiedziałem, że jest to jeden z ważnych elementów uwiarygodnienia się władzy. Powtarzam to dziś również: tylko władza aktywna, wychodząca, a właściwie — przechodząca do ludzi, tylko władza pytająca tych ludzi o ich problemy, kłopoty, zgrzyoty, tylko władza szukająca tam, na dole swojej weryfikacji i potwierdzenia swojej służebnej roli, tylko taka władza ma szansę.

— Na co?

— Na to, że jest potrzebna, że jest jeśli już nie akceptowana, to nie negowana, i nie odrzucana. Ponadto jest to wentyl chroniący tę władzę przed ignorancją i arogancją.

— Myślę, że Profesor trochę kokietuje. Trudno pojąć obecną ekipę partyjną Lubelszczyzny o ignorancję. Kieruje instancją profesor, specjalista prawa państwowego. Sekretarzami są: docent (Michał Bokinić) menadżer (Tadeusz Borszyński) i działacz partyjny wyrosły z dołu, z dużego zakładu (Wacław Przybylski) oraz „młodzieżowiec” (Janusz Mańko).

— Nie mam ambicji kierowania całą instancją wojewódzką. I sekretarz tylko organizuje pracę egzekutywy i sekretarzy w okresie między posiedzeniami KW, reprezentuje komitet i występuje w jego imieniu na zewnątrz. Wracając zaś do historii najbliższej, chciałbym zauważyć, że nie brakowało nam u steru ludzi zarówno z tytułami naukowymi, przeszłością menadżerską, działalnością w ruchu młodzieżowym i doświadczeniem (tylko niech pan nie pomyśli, że źle mówię o moich najbliższych współpracownikach). I co?

— I widać. Władzy patrzeć na ręce nie powinno szkodzić. Zapytam jednak o drugi bieg tej „mobilności”. Czy w nawale spraw ważnych, lecz przecież szeregówowych, nie umykają gdzieś bokiem perspektywiczne? Inaczej. Czy nie obawia się Profesor, że zostanie w pamięci mieszkańców Lubelszczyzny, jako ten, który lubił się spotykać i odbył — powiedzmy — tysiąc sto spotkań, ale nie zdolał doprowadzić do końca budowy Szpitala Pozaklinicznego w Lublinie?

— Rozumiem. Istnieje pewne zagrożenie, że w nawale spraw detalicznych może brakować czasu i sił na sprawy perspektywiczne, ważne nie dziś, a dopiero za lat dziesięć. Słyszę niekiedy, że wykonują sporo czynności, które mógłby robić ktoś inny, że nie muszą czytać osobiście każdego listu do mnie adresowanego, że nie muszą przyjmować tylu interesantów, że nie muszą tyle jeździć. Zgoda, jest to obciążenie, ale na razie nie odbija się chyba negatywnie na rzeczach ważnych. Przynajmniej mam taką nadzieję. Może w przyszłości zajdzie potrzeba innego bilansowania czasu. Zeby jednak udowodnić, że nie tracę z pola uwagi problemów kluczowych, postaram się je w pewien sposób uszeregować. Problemem zasadniczej wagi dla województwa jest budownictwo mieszkaniowe; nie ma ważniejszego. Myślę, że tematu nie trzeba rozwijać. Sytuację oceniamy na tyle źle, że podjęliśmy szereg działań zmierzających do rozwiązania na szczeblu centralnym. Spodziewamy się wizyty wicepremiera, przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i ministra budownictwa, którym zechcemy tu na miejscu przedstawić dramatyzm sytuacji. Po drugie, jest pilna potrzeba rozszerzenia bazy służby zdrowia. Wiemy o niej, co mówią ludzie, patrząc na budowę Szpitala Pozaklinicznego przy Alei Kraśnickiej, wiemy o tym, że w szpitalach lubelskich lu-

dzie muszą leżeć na korytarzach. W rozwijającej się Łęcznej też potrzeba takiego obiektu. Po trzecie, problem oświaty. Powiem od razu, że perspektywy są tu bardzo czarne, bo spółdzielczość mieszkaniowa, która do tej pory budowała szkoły w osiedlach mieszkaniowych, wycofuje się z tego, argumentując, że podstawowym jej celem jest budowa mieszkań, a obiekty towarzyszące powinien robić ktoś inny. W takiej sytuacji stajemy przed problemem nowym i wymagającym szybkich decyzji. Opracowuje się plan rozwoju perspektywicznego oświaty w województwie, który ujmowałby całość spraw związanych z tą dziedziną życia. Chodzi o to, żeby w roku, na przykład 50-lecia PRL nie pozostał pustyni oświatowej. Zeby dzieci nie musiały o 20-tej wracać ze szkoły, żeby klasy nie pękały w szwach, a nauczyciele nie wykańczali się takimi warunkami pracy.

Rozumiem dobrze, że nie wszystkie zamierzenia w tych dziedzinach uda nam się zrealizować, że sytuacja jest podobna w całym kraju, ale z obowiązku rozpoznawania potrzeb, planowania ich zaspokajania i starań, aby było to robione, nikt nas nie zwalnia, a i sami nie mamy takiego zamiaru.

— Mówimy — daruje Profesor tę uwagę — o sprawach, które leżą w gestii władz administracyjnych. Czy macie zamiar wyręczać je w ich powinnościach? Pytanie to nie bierze się z tego, że dziwi mnie samo zainteresowanie, bo przecież partia pełni rolę politycznego kierownictwa wobec administracji, a z tego, że mówi Profesor o tych sprawach jakby były one na pierwszym miejscu w pracy instancji wojewódzkiej.

— I ja się, redaktorze z takiego odczucia cieszę. Sprawy ideologiczne i wewnątrzpartyjne nie mogą przysłaniać spraw znajdujących się w polu uwagi społecznej. Jeszcze raz wróć do wiarygodności partii.

— Pozostaniemy przy sytuacji w partii. Dobiała końca kampania sprawozdawcza. Jak wygląda stan zorganizowania PZPR w województwie? I drugie pytanie. Jakich argumentów do rozmów i spotkań z ludźmi dostarczyła Profesorowi ta kampania?

— Obecnie organizacja wojewódzka liczy 54 tysiące członków i kandydatów PZPR. W okresie ostatnich dwóch lat liczebność spadła o 18 tysięcy, czyli o 25% poprzedniego stanu. Tylko od początku br. szeregi zmniejszyły się o ok. sześć tysięcy. W tym samym czasie wstąpiło do partii 150 osób. Te liczby wymagają komentarza. Największy odpływ nastąpił nie po wprowadzeniu stanu wojennego (bo jest to pewna cezura), a przed. Odchodzili ludzie chwilejni, tacy, którzy mieli wątpliwości, odchodzili tacy, którzy w partii znaleźli się przypadkowo, albo z pobudek osobistych (np. karierowicze), odchodzili ludzie wrocy nam, odchodzili także tacy, którzy zawiedli się na polityce partii i przestali uznawać ją za swoją. W tej ostatniej grupie są także, choć nieliczni, dawni członkowie PPR, czy nawet KPP, i to jest zjawisko, którego wagi nie wolno nam lekceważyć. Musimy z tymi ludźmi rozmawiać, słuchać ich uwag (nawet gorzkich), poznawać motywy ich decyzji. Musimy też wyjaśniać działania partii i być może tą drogą spowodować ich powrót. Jest to zadanie o kapitalnym znaczeniu nie ze względów propagandowych, a ze względu na to, ile im zawdzięczamy. Wiele osób, zwłaszcza po 13 grudnia, zostało skreślonych, pewna liczba wydalona z PZPR. Jest to proces oczyszczania szeregów partii potrzebny, ale w moim odczuciu prowadzony z umiarem i kulturą.

Odpowiedź na drugie pytanie jest bardziej skomplikowana. Myślę, że podstawowym argumentem jest wzrastająca aktywność organizacji podstawowych w dużych zakładach. Osobiście dużą satysfakcję odniosłem podczas konferencji sprawozdawczej w FSC, gdzie po przedstawieniu projektu uchwały wstał robotnik i powiedział, że za takim tekstem nie będzie głosił, bo jest to lista życzeń i wymagań pod adresem KZ, KW i KC, a nie ma tam nic o wymaganiach od organizacji partyjnej w ich rodzimym zakładzie. Kto wie, czy nie jest to najpoważniejszy argument w tej kampanii.

— W tej samej kampanii, również robotnik, również w Lublinie zarzucił partii bierność wobec faktów obniżania się poziomu życia, a zwłaszcza bandytyzmu cenowego (np. kilo smażonego karpia w barze kolejowym za... 1089 zł) i realizacji reformy gospodarczej w sposób — w wielu wypadkach — trudny do przyjęcia, nie mówiąc już o akceptacji.

— Cóż mogę powiedzieć? Sam dostrzegam wiele przypadków okradania i tak przecież nie za grubych portfeli. Znam niemało ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na pełny wykup kartek. Znam takich, którzy z trudem wiążą koniec z końcem. Znam żyjących w ubóstwie. Jestem w związku z tym absolutnie za surowym karaniem tych, którzy z ludzką krwawicą chcą ciągnąć zyski. Wiele takich decyzji jest podejmowanych. Wielu zakładom odebrano prawo ustalania cen na swoje wyroby. Proces ten musi być kontynuowany i w naszym województwie będzie także. Uważam też, że wiele elementów reformy musi być ponownie przedyskutowanych i zmienionych. Oplnie takie pojawiały się w wypowiedziach Wojciecha Jaruzelskiego, a ich realizacja jest bliska.

— Wspomniał Profesor o listach do siebie. Ile ich? O czym ludzie piszą? Czego chcą?

— Najkrócej powiedziałbym: można by tak. Dużo ich. Piszą o krzywdzie. Chcą sprawiedliwości. Ale to nie wystarcza, więc może tak... Dostaję dziennie 15—20 listów adresowanych imiennie. Wszystkie trafiają na moje biurko i wszystkie są czytane tego samego dnia. Jeżeli nie ma mnie przez kilka dni, robi to sekretarz Tadeusz Borszyński, a potem przekazuje mi informację. W każdym liście zaznaczam sobie sedno sprawy i zlecam kontrolę, jeżeli taka jest potrzebna, potem sprawdzam wykonanie. Jest to możliwe dzięki kancelarii i poszczególnym wydziałom KW. Gros spraw dotyczy sytuacji mieszkaniowej (ponad 70%). Zdarzają się przypadki zupełnie dramatyczne, wy-

ciągające trzy. Na przykład w jednym pokoju, bez kuchni, bez łazienki, i w.c. mieszka siedem osób, w tym jedna ciężko chora. A pokój ma 18 m². Albo ludzie ulomni, albo samotni. Albo matki samodzielnie wychowujące dzieci. Drugą grupę stanowią listy z gmin, w których ludzie skarżą się na kumoterstwo, łapownictwo, niesprawiedliwość. Tu przykład z Krzczonowa, gdzie w wyniku naszej interwencji wstrzymano rozdział mieszkań spółdzielczych, robiony po „gospodarsku”, czyli tak, żeby dostali ci, co powinni, a nie ci, co im się należy. Sporo jest anonimów, które dotyczą zwykle spraw personalnych i zwykle się nie potwierdzają. Zdarzają się też przypadki cwaniactwa, niekiedy bardzo przymyślnego i efektownego.

— Jakże?

— Dostałem kiedyś list, w którym mieszkaniec wsi skarżył się, że go pominięto przy rozdziale mieszkań. Obwiniał władze gminy. Do listu dołączona była legitymacja partyjna, którą na znak protestu zwracał na moje ręce. Poleciałem sprawę natychmiast zbadać i okazało się, że ów rolnik wykonał ten sam „numer” po raz trzeci. Poprzednio skutkowało (bo dostawał, czego chciał), teraz już ów sposób pożegnania z PZPR przyjęliśmy.

— Rok bieżący jest w historii kraju wyjątkowy, bo przeżyty w warunkach stanu wojennego, co poza samą nazwą przyniosło także konkretne ograniczenia praw i swobód obywatelskich. Pogorszeniu uległy materialne warunki życia. Obecnie stan wojenny został zawieszony. Czy jest to początek normalizacji, porozumienia, ugody?

— Wierzę, że jest to czynnik, który ów proces porozumienia przyspieszy. Z trzech możliwości (utrzymanie, zawieszenie, zniesienie) wybrano najbardziej adekwatną do sytuacji, najbardziej realną i realistyczną. Dlaczego tak jest, nie będę tłumaczył, bo to już było robione, a i nie jest trudne do zrozumienia. Chciałbym tylko zauważyć, że jest to trzeci przypadek wprowadzenia na dłuższy okres stanu wojennego (wyjątkowego) w europejskim kraju socjalistycznym (Węgry w 1956 r., Czechosłowacja w 1968 r.). Dotychczasowy przebieg stanu dowiodł, że był on najbardziej liberalny i najmniej dolegliwy. Nie wracając do roku 56-tego na Węgrzech, chciałbym zatrzymać się przy Czechosłowacji. Mimo, że bazę ówczesnych wydarzeń w tym kraju stanowili przedstawiciele przede wszystkim inteligencji, a więc była ona inna niż u nas (i znacznie mniejsza), jeszcze po roku w Pradze stały czołgi, a dolegliwości były znacznie surowsze. Przy czym należy pamiętać, że nie towarzyszył temu kryzys gospodarczy i odpadało ewentualne źródło konfliktogenne w postaci pustych półek. Konkluzja nie może być więc inna, niż taka, że społeczeństwo polskie zdało wielki egzamin dojrzałości politycznej i patriotycznej. Ten fakt przekonuje mnie, że istotnie zbliżamy się ku porozumieniu.

— Porozumienie jest stanem społecznym trudnym w diagnozowaniu, może więc postaramy się zastanowić, kiedy stan wojenny zostanie zniesiony.

— Jest to moja prywatna ocena. Myślę, że przy utrzymywaniu się obecnej sytuacji i nie powstawaniu zaburzeń o szerszym zasięgu, warunki do zniesienia stanu wojennego mogą nastąpić latem przyszłego roku. Myślę, że takiej decyzji mogą towarzyszyć także inne, służące budowaniu porozumienia, jak np. amnestia. Są to jednak rozważania hipotetyczne i tak trzeba je traktować.

— Czy pamięta Profesor swój dzień 13 grudnia 1981 roku?

— Sądzę, że ten dzień pamięta każdy Polak. Wieczorem 12 grudnia wracałem z kolegami z UMCS autokarem z Rzeszowa, gdzie prowadziliśmy zajęcia. W okolicach stacji benzynowej na Alei Kraśnickiej natknęliśmy się na potężny korek i musieliśmy dokonywać objazdów i wjeżdżać do miasta z innej strony. Wróciłem krótko przed północą do domu i położyłem się spać. Rano zjadłem śniadanie i włączyłem radio. Uwagę moją zwróciła Inna niż zwykle muzyka. Podszedłem do telefonu, aby zadzwonić do córki. Nie działał. Mniej więcej w tym samym czasie radio nadało komunikat. Zrobiło mi się gorąco.

— Oby się już nigdy nam nie musiał ten 13 grudnia powtarzać... Co dla Profesora było w odchodzącym roku najważniejsze?

— Zostałem dziadkiem. Przed miesiącem córka urodziła wnuczkę. Oleńka chowa się dobrze, choć początkowo wszyscy drżeliśmy o nią, bo urodziła się jako wcześniak i pierwsze trzy tygodnie spędziła w inkubatorze.

— Życzenia dla Czytelników „Kamenu”?

— Życzę wszystkim, aby Nowy Rok był rokiem lepszym, spokojniejszym. Zeby nadzieja i optymizm gościły w naszych domach i sercach częściej niż gorzyc i zwątpienie. Zespołowi „Kamenu” życzę wiernych Czytelników, a i redakcji i Czytelnikom narzeczcie — w roku 50-lecia pisma — TYGODNIKA. Zresztą postaram się sam do tego rękę przyłożyć.

— A od nas — ZDROWIA! Zatem do następnego spotkania.

— Zależy to tylko od was.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

Korzenie

Mirosław Derecki

TRAFIC w Genewie na ulicy des Paquis nie trudno. Tu, w domu oznaczonym numerem piątym, w drugiej połowie ubiegłego stulecia mieściła się drukarnia, Imprimerie de „l'Aurore”, i to na jej maszynach wydrukowano w maju 1882 r. niewielką książeczkę, tomik poezji zatytułowany „Czegóż chcą?” Książeczka liczyła sześćdziesiąt cztery strony, zamieszczono w niej dwadzieścia cztery wiersze. Motto zbioru wzięto z III części „Dziadów”: „Teraz bracia, piosenkę lepszą posłyszmy”.

Ten zbiorek wierszy jest dzisiaj bibliofilskim rarytatem, prawdziwym „białym krukiem” dla zbieraczy. Dla naukowców zaś śledzących historię polskiego ruchu robotniczego stanowi także materiał niezwykle cenny: jest to wszak pierwsza w historii tego ruchu pozycja wydawnicza poświęcona poezji rewolucyjnej i przygotowana specjalnie z myślą o czytelniku robotniczym. Wyłożyli tę ideę w sposób jasny sami wydawcy w nocie zamieszczonej na tylnej okładce:

„Wydając część pierwszą zbioru wierszy „Czegóż chcą?” sądzimy zadość uczynić, oddając na uczuwanemu przy agitacji i propagandzie, brakowi w naszej literaturze socjalistycznej. Jeśliby wydany tomik — wedle zdania Towarzyszy w kraju — okazał się istotnie pożytecznym, przystąpimy po niejakiem czasie do wydania części drugiej niniejszego zbioru. Ponieważ jednak zasobów, jakimi rozporządzamy, nie możemy użytkować na wydania w pewnym specjalnym kierunku, a owszem musimy rozwijać naszą działalność wydawniczą w rozmaitych zakresach, przeto w razie żądania rychlejszego odbicia części drugiej upraszamy Towarzyszy o nadesłanie nam środków, na wykonanie tego przedsięwzięcia potrzebnych (150—200 fr.)...
Tytułowy wiersz — „Czegóż chcą?” należy bez wątpienia do najlepszych pozycji zbioru. Twórcą jego był zresztą człowiek, który w przyszłości miał zasłynąć jako doskonały prozaik, autor szeregu powieści z życia Dalekiego Wschodu...”

„Czegóż chcą oni?” — i gawieść
szumi,
Szyderstwem wita, obelgą plwa,
„Czegóż chcą oni?” — Któż ich
zrozumie...
Chleba, swobody... Któż o to dbał [...]
Hurra! Swoboda, Fabryk
i Ziemi!
I powiał w górę czerwony znak,
Zwojami w słońcu mignął baronem,
I na ludzkości dziejowy szlak
Wypłynął, przez nasze dźwięgnięty
dłonie. [...]

Wiersz napisał w 1879 r. więzień X Pawilonu w Cytadeli Warszawskiej, dwadzieścia lat liczący współtowarzysz i rówieśnik Ludwika Waryńskiego — Wacław Sieroszewski.

Jesienią 1876 r. w Warszawie pojawił się młody, dwudziestoletni mężczyzna, który wśród robotników i postępowej młodzieży inteligentkiej zaczął prowadzić agitację socjalistyczną. Aby mieć łatwiejszy kontakt z robotnikami, podjął pracę w fabryce Lilpopa. Nazywał się Ludwik Waryński i przyjechał z Petersburga, gdzie przedtem studiował w Instytucie Technologicznym. Wśród młodych ludzi, którzy wciągnięci zostali przez Waryńskiego do pracy konspiracyjnej, znalazł się były warszawski gimnazjalista, uczeń „Ślusarski”, a obecnie robotnik w warsztatach kolejowych i zarazem uczeń szkoły technicznej przy kolei warszawskowiedeńskiej, Wacław Sieroszewski. Na kole warszawskowiedeńskiej pracował także — starszy o dziesięć lat od Waryńskiego i Sieroszewskiego — Wacław Święcicki. Wydalony swego czasu z petersburskiego Instytutu Technologicznego za obecność w demonstracjach studenckich, brał teraz żywy udział w organizowaniu w Warszawie

pierwszych kółek socjalistycznych. Święcicki parzył się także literaturą. Pisał wiersze i słowa do piosenek rewolucyjnych. Nie zdobył na tym polu wawrzynów, wszakże napisał jeden tekst doskonały; były to słowa do „Warszawianki”, pieśni zaczynającej się wezwaniem: „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę...!”. Wśród towarzyszy Ludwika Waryńskiego znajdował się też dwudziestoletni młodzieniec, syn bogatego warszawskiego bankiera, Stanisław Mendelson, który wkrótce miał się oddać z zapalem rewolucyjnej publicystyce oraz działalności wydawniczej poza granicami kraju, w Szwajcarii. Tam właśnie, w Genewie, powstały polskie czasopisma socjalistyczne, marksistowskie — „Równość” a następnie „Przedświt” i „Walka Klas”. To właśnie w drukarni oraz nakładem „Przedświtu” pojawił się 12 maja 1882 r., wspomniany tomik „Czegóż chcą?”.

8 sierpnia 1878 r. policja carska dokonała w Warszawie licznych aresztowań wśród członków ruchu socjalistycznego. Do więzienia trafiło osiemdziesiąt osób, w tym — czterdziestu pięciu robotników. Wśród uwięzionych znaleźli się Wacław Sieroszewski i Wacław Święcicki. Osadzono ich w Cytadeli Warszawskiej. Waryński uniknął aresztowania. Zdażył jeszcze wraz z Józefem Uziembłą, Aleksandrem Więckowskim i Ludwikiem Dziańkowskim opracować tekst „Programu socjalistów polskich”, tzw. „programu brukselskiego” (nazwa miała zmylić czujność warszawskiej policji) i wyjechał do Galię podejmując dalszą działalność w Krakowie i we Lwowie. „Program brukselski” uznawał walkę klas za główną dźwignię rozwoju ludzkości; w proletariacie upatrywał samodzielną klasę, która w walce z ustrojem kapitalistycznym podniesie ludzkość na wyższy szczebel rozwoju.

Tymczasem Sieroszewski, Święcicki i ich współtowarzysze niedołączyli się do celach X Pawilonu i czekali na proces, który — według uznania sędziów — miał im przynieść długoletnie więzienie, katorgę lub zesłanie na Sybir. Wówczas to aresztowani zaczęli wydawać potajemnie więzienną gazetkę — „Głos Więźnia”. Pierwszy z kilku powstałych numerów ukazał się 16 stycznia 1879 r. Redagowali „Głos Więźnia” Maksymilian Heilpern i Józef Pławński, a wśród współpracowników znaleźli się Wacław Święcicki i Wacław Sieroszewski. Wiersz „Czegóż chcą?” napisany był z myślą o zamieszczeniu go w gazecie. Niestety władze więzienne przechwytyły kopię utworu i Sieroszewski powędrował na miesiąc do karceru. Wiersz przeniknął jednak w jakiś sposób przez mury Cytadeli i dość szybko dotarł do Szwajcarii; tam wydrukowano go w pierwszym numerze genewskiej „Równości”, który ukazał się w październiku 1879 roku. Natomiast Sieroszewski i Święcicki powędrowali wkrótce potem na Sybir. Święcicki na lat cztery, zaś Wacław Sieroszewski — na całych czternaście lat.

Po zdławieniu Komuny Paryskiej światowym centrum działalności socjalistycznej stała się Szwajcaria odznaczająca się wówczas liberalizmem wobec społecznych ruchów postępowych. Przebywali tutaj lub przyjeżdżali do Szwajcarii, szczególnie do Genewy i Zurychu, ludzie tej miary jak Bernstein, Liebknecht, Bebel, Kautsky, Plechanow, Engels. Ciągnęli także do Szwajcarii Polacy. Zarówno starsi — dawni przedstawiciele stronnictwa Czerwonych w Powstaniu Styczniowym i parzysty komunisty, którzy tutaj znajdowali schronienie i jakie takie warunki egzystencji. Jak również ludzie zupełnie młodzi, przejęci nowymi światowymi prądami społecznymi. Ci drudzy przybywali do tego kraju na studia wyższe cenione wtedy na całym świecie.



Rys. W. Crane „Przedświt” (Genewa) 1888 nr 7-8

Pod koniec lat siedemdziesiątych osiedlił się w Genewie wstawiony najpierw w Powstaniu Styczniowym a następnie — udziałem w walkach Komuny Paryskiej; generał Walery Wróblewski, członek I Międzynarodówki i przyjaciel Karola Marksa. W tym samym mniej więcej czasie również w Genewie, w jej południowej dzielnicy Plainpalais przy Chemin Neuf 17, zamieszkał popularyzator myśli socjalistycznej Bolesław Limanowski, wydalony z Galię za swą działalność. Od czasów powstaniowych mieszkał w Genewie dziennikarz Józef Card-Cwierczakiewicz, członek I Międzynarodówki i znajomy Marksa. Natomiast wśród młodych przybyszów z kraju, liczących sobie po dwadzieścia kilka lat, znaleźli się — znany nam już Stanisław Mendelson, Maria Jankowska oraz Kazimierz Dłuski — w latach późniejszych znany w Polsce lekarz-ftyzjatr. To właśnie oni opublikowali w Genewie warszawski „brukselski” „Program socjalistów polskich”, którego współtwórcą był Ludwik Waryński. „Program” został wydrukowany w pierwszym numerze miesięcznika „Równość” założonego z inicjatywy Stanisława Mendelsona, który zresztą, jako syn majetnych rodziców, dysponował odpowiednimi środkami na tego rodzaju przedsięwzięcie.

W skład redakcji „Równości” weszli: Stanisław Mendelson, Bolesław Limanowski, Maria Jankowska, Kazimierz Dłuski i Szymon Diksztajn. Kiedy po krakowskim procesie trzydziestu pięciu socjalistów w 1880 r. przybył do Szwajcarii, uwolniony od winy Ludwik Waryński (który zasiadał na ławie oskarżonych m.in. wraz ze Stanisławem Mendelsonem) dołączył on z Witoldem Piekarskim — do zespołu redakcyjnego „Równości”. Wkrótce zresztą doszło do rozłamu w redakcji. Odszedł z niej Bolesław Limanowski nie mogąc pogodzić się z pojmoowaniem sprawy niepodległości Polski przez młodzież rewolucyjną. Na stronach „Równości” znalazły się także zdania: „My zerwalimy raz na zawsze z programami patriotycznymi [...]. W imię hasła: proletariusze wszystkich krajów łączcie się, z tradycją patriotyczną walczcie będziemy”. Do ostrego starcia na ten temat doszło pomiędzy młodymi i starszymi w czasie zorganizowanego w Genewie w dniu 27 listopada 1880 r. międzynarodowego mitingu w związku z pięćdziesiątą rocznicą Powstania Listopadowego. Najciekawsze w tym wszystkim, że na ręce organizatorów nadszedł list podpisany m.in. przez Marksa i Engelsa, w którym stwierdzali oni, że w interesie międzynarodowego proletariatu leży sprawa narodowego wyzwolenia Polski i że hasło „Niech żyje Polska!” jest nadal aktualne.

15 sierpnia 1881 r. ukazał się w Genewie — w miejsce dotychczasowej „Równości” — miesięcznik zatytułowany „Przedświt”. Miał on w ciągu szeregu następnych lat być organem Wielkiego Proletariatu, Drugiego Proletariatu, Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich oraz Polskiej Partii Socjalistycznej. Wśród innych pozycji w owym pierwszym numerze „Przedświtu” zwracał uwagę wiersz sygnowany literką „b”, noszący tytuł: „Do robotników!” (podług Herwegha). Autorem owego wiersza, wzorowanego na znanym utworze niemieckiego poety Wiosny Ludów — Georga Herwegha, był lwowski dziennikarz i literat, działacz socjalistyczny, przyjaciel Iwana

Franki, współorganizator pierwszego strajku drukarzy Bolesław Czerwieski — Oto fragment tego utworu: *Módl się, pracuj — świat nam gada — Bądź pokorny — to zasada — A gdy do drzwi nędza puka, Znoś cierpliwie — to nauka!*

A ty, ludu, z krwawym potem, Orzesz, sztyesz, kuzesz młotem, W znoju trawisz lata młode... Jaką potem masz nagrodę?! [...]

Robotniku! Bracie miły! Powstań, własne poznaj siły, Wszak gdy zechcesz, na żądanie Wszelki ruch na świecie stante! [...]

Bolesław Czerwieski był — jako działacz społeczny — współautorem „Tymczasowego programu minimalnego partii socjalistycznej” oraz „Programu socjalistów polskich i ruskich Wschodniej Galię”. Jako dziennikarz — współredagował lwowską gazetę proletariacką „Praca”, a także inne lwowskie gazety. Jako literat — napisał sporo dramatów i opublikował kilka zbiorów wierszy. Wstawił się napisaniem w 1881 r. słów pieśni która rychło się stała hymnem polskiego walczącego proletariatu — „Czerwonego Sztandaru”.

„Przedświt” wydawał także broszury oraz druki ulotne. Jako pierwsze z jego wydawnictw ukazał się „Socjalizm utopijny a naukowy” Fryderyka Engelsa. Drugą pozycją było „Sprawozdanie przedstawione na międzynarodyn. zjazd. soc. w Chur” Ludwika Waryńskiego. Trzecią — zbiór wierszy „Czegóż chcą?”. W tomiku tym, oprócz „Czegóż chcą?” Sieroszewskiego i „Do robotników!” Czerwieskiego zamieszczono także „Czerwony Sztandar” tegoż autora; poza tym szeregi utworów Wacława Święcickiego, Hieronima Truskowskiego oraz Marii Jankowskiej. Niestety, najsłabsze są utwory Jankowskiej. A to wszak ona — jak się uważa — była inicjatorką wydania zbioru i ona przywołała z Polski do Genewy wiele wierszy, po zwolnieniu jej z więzienia w Poznaniu. Trafiła tam na początku 1882 r. wraz ze swym mężem Stanisławem Mendelsonem, Hieronimem Truskowskim i kilkoma innymi osobami skazanymi w procesie socjalistów polskich w Poznaniu za „działalność wywrotową”.

A w czasie, gdy Mendelson i Truskowski odsiadywali swoje wyroki, Ludwik Waryński, który w grudniu 1881 r. powrócił ze Szwajcarii do kraju, powołał do życia w Warszawie, w sierpniu 1882 r., Międzynarodowa Socjalno-Rewolucyjną Partię „Proletariat”.

W półtora roku później Waryński został aresztowany. 20 grudnia 1885 r., orzeczeniem doraźnego Sądu Wojskowego w Warszawie, przed którym toczył się proces 29 członków „Proletariatu” — skazano go na 16 lat twierdzy. Na wolność już nie wyszedł. Zmarł na gruźlicę w twierdzy szlisselburskiej 2 marca 1889 r.

A Wacław Sieroszewski? Przeżył Ludwika Waryńskiego o pięćdziesiąt sześć lat! Zmarł w Piasecznie pod Warszawą w 1945 roku!

Oglądał dzieje polskiego ruchu socjalistycznego od samego początku jego istnienia aż po powstanie Polski Ludowej. Przeszedł nieprawdopodobne perypetie życiowe, był jednym z pierwszych Polaków skazanych „za socjalizm”, dwukrotnie próbował ucieczki z Sybiru, brał udział w rewolucji 1905 r. w Polsce, żył na krańcach kontynentu azjatyckiego i w centrum kultury europejskiej — w Paryżu, napisał niezapomniane „Na kresach lasów”, „Beniowski”, „Ocean” ... W 1914 r. przyjechał z Paryża do Krakowa i stąd, 6 sierpnia, wymaszerował w szeregu Pierwszej Kompanii Kadrowej jako jej najstarszy 53-letni żołnierz.

W latach trzydziestych Wacław Sieroszewski przeszedł Polskiej Akademii Literatury. Był jedną z czołowych postaci obozu sanacyjnego. Jedni zrywali się na niego za zmianę dawnych poglądów i ostro go krytykowali, inni pokpiwali po prostu ze starego „Sirkki” i bezkrytycznie uwielbiali jakiegoś żył wobec dawnego towarzysza z PPS oraz Komendanta — Józefa Piłsudskiego. Nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że człowiek ten naprawdę kochał Polskę i że przeżył swoje długie życie w sposób prawdziwy i pełny.

Przy pisaniu powyższego materiału korzystałem m.in. z książki „100 lat polskiego ruchu robotniczego”, Warszawa 1978. „Polacy w Szwajcarii” Jana Lewandowskiego, Lublin 1981, a także — z postawia Bogdana Zakrzewskiego do reprintu „Czegóż chcą?”, Wrocław 1974.

AUTOBUS pokazał unurzony w błocie zad i wziął kurs na Lublin. — Pies ci koka gryzł! — powiedziała dama z dobrze usztywnioną fryzurą roko-ko i godnie stała tyłem do jezdni. Był poniedziałek, najgorszy dzień dla dojeżdżających. Poza tym ciągnęło po tydkach.

— Jak pieprzę w ten głupi asfalt...
— Flugaty? Flugaty, nerwy schowaj na dużą przerwę — wtrącił wkleśnięty blondyn z twarzą beznamiętną jak komentarze ekonomiczne w gazecie codziennej. — Pożyjesz, to się uspokoisz.
— To taką dziurę wywalę w asfalcie...
Nikt nic nie powiedział. Flugaty poprawił torbę z książkami. Wiało od fary, przez kwietniki o wysokości katafalków, którym ze środka wyrastały drzewa. Wymiało liście ze wszystkich kątów miasteczka.

Flugaty zasłonił przyszcze kołnierzem, dama s grzywką na cukier ogładała sobie obcasy, właścicielka każdy zajął się sobą, bo na zimnie ciężko prowadzić życie towarzyskie. Pani Henia jakby się dzisiaj spóźniała. Flugaty pierwszy zobaczył autobus. Wyglądało, że jedzie Zofian albo Międzyrzec. Jak Międzyrzec, to miesięcznych nie zabiera.

— Mokra dupa — Flugaty poszedł na ławkę. Autobus nawet nie zjechał na przystanek, Międzyrzec oczywiście. Za dwadzieścia szosta na zegarze u fary, z nocy jeszcze nie wychylał się nawet czubek kościelnej wieży. Pani Henia na pewno zaspała.

Znowu zamigotały na zakręcie cztery światła, odbiły w szybach restauracji Adria, a potem kolejno od pustych wystaw odzieżowego i obuwniczego.

— Teraz jedziemy. — Każdy stanął na brzegu trotuaru, kalkulując, gdzie otworzą się drzwi autobusu. Potem wesołe ciepłko, krótki galop do tylnego siedzenia i już kołyszce aksamitny baryton: „trudno przeżyć, serce puste, bo to walczyk na przepustce”

— No i dobrze! — mruknął Flugaty i kołnierzem odgrodził się od zimnej szyby. Każdy przysypiał.

Sen dojeżdżającego jest krótki i zależy od kierowcy. Pierwsze budzenie za Wandzinem, na najgłępszym zakręcie świata wymodelowanym w błyskawice, gdzie wszystkich zarzuca dwa razy. Drugie — pod górą w Ciecierzynie, kiedy autobus zadławia się spóźnionymi ambicjami. W międzyczasie zależnie od odporności, można otworzyć okno na zapalone niespodziewanie światło, albo trzaśnięcie drzwiami. Z niechętnym świtem kończy się chwilowy raj dojeżdżającego.

Po dniu spędzonym w pszenno-buraczanej metropolii znowu schodzili się na przystanek — kolejno, każdy ze swojego miejsca pracy, które wydawało się lepsze od innych, a w gruncie rzeczy było takie samo. Ufryzowana z siatką pełną zakupów dystansowała się na winku. Wkleśnięty blondyn, co zawsze szczyplie wargami peta, już wyciągnął przydziałowego papierosa. Flugaty jeszcze randkował w tanej kawiarni. Za to pani Henia we włochatym berecie tryskała życiem, gdyż dyrektor ekonomiczny zachowywał się wobec niej obiecująco i wymownie.

— Chociaż nic konkretnego — zapewniała koleżankę z równie łapczywymi oczami, dla niepoznaki zapaćkami na niebiesko. Podbiegła przyjaciółka koleżanki, która zrobiła dziś w pracy połowę przodów i kupiła ładny kawałek cielęciny.

— U nas każda robi na drutach — zachłystywała się. — Nawet nie chowamy, kiedy Głupi wchodzi.

— Jaki głupi?
— Kierownik.

Nagły śmiech wyraźnie zranił ufryzowaną. Podwładna Głupiego dla zasady sznurowała usta. A pani Henia jak nie było, tak nie było.

— Idzie! — naraz pokazały sobie tęgą kobitkę objuconą jak wielbłąd, radośnie wyrzucającą do przodu nogi obute w prunelki. — Też zakupy w pracy zrobiła.

— Co się stało, pani Heniu, stary rano z łóżka nie puścił? Pani Henia napełniała chichotem.

— Ja się puściłam — poinformowała — z takim jednym, co ma wszystkiego za dużo. Lemuzyną mnie świtkiem podrzucił.

— A odwieść nie mógł?
— Mógł — wykrzyknęła pani Henia — ale nie był w stanie!

— To mu pani dała! — cmoknął Flugaty. Wszyscy spojrzeli jakby baka puścił. — Z pani to numer, pani Heniu — powiedział pojednawczo.

— Ty poza numeracją — groźnie obejrzała się za Flugatym pani Henia. — Jak zmądrzejesz, to mi powiedz. — Ciężkie, czy dzisiaj też będą nami wycierali autobusy. Wiecie, jak było wczoraj? Jeden podjechał normalnie, a drugi za nim, tak że do jego drzwi prowadził wąski korytarzyk między autobusami. Pierwszemu wytarliśmy rękawami lewy bok, a drugiemu prawy. Jeszcze sukinkoty namawiali się głośno, co zrobić, żeby wykorzystać taki tłum...

— Ach, pani Heniu — westchnęła ta w kudłaty berecie. — Nie bil Mazurek dziurkaczem po rękach, bo mu uszczelki wyrwali? Aż mu się ktoś przysłużył, i wyleciał...

— Może tylko z naszej trasy? Takie trzymanie jak on miał. — powiedział poważnie Flugaty.

— Zdziczenie, kompletna dzicz... — odezwała się dojeżdżająca nauczycielka, dotąd stojąca z boku, ale nie dokończyła, kogo ma na myśli: kierowców czy pasażerów.

— Kultura się kończy, kiedy statek tonie — uzmysłowił sobie głośno Flugaty.

— To szczury uciekają — poprawiła go pani Henia.

— A jak kino się pali — rozważał Flugaty — to i eleganckie panie depczą po sobie do wyjścia. Więc jak kryzys jest, to kulturą nikt się nie

BYLE DO PRZODU

Anna Bocian

przejmuje. Dżentelmeni wymarli, bo wolnych miejsc zbrakło.

— Poczekaj ty, zajmę ci miejsce kiedy — powiedziała pani Henia.

— Pani Henia dobrze się pcha — powiedział z uznaniem Flugaty. — Małe, krępe, to nie wiadomo kiedy we drzwiach. Łokciem popracuje i już siedzi...



Fot. W. Siciński

— No głupi całkiem — zachnęła się pani Henia — Widziałeś, że bym się pchała?

— A kto w zeszłym tygodniu kupę żelastwa wiozł i wrzeszczał, że ostrożnie, bo pas cnoty się uszkodzi?

— Ale się nie pchałam!

— Jeszcze kierowca panią za rękę z tłumem wyciągał...

— On zawsze miesięcznych wyciąga, nie opowiada już.

— Zawsze, zawsze — potwierdziły dziewczyny. — I jeszcze się pyta: co ja będę z tego miał? A pani Henia woła: buzi!

— Tylko swoją chowam, żeby się nie przestraszył.

— Babstwo zawsze wsiada, cholera jasna — rzęziła się Flugaty.

Pani Henia zrobiła zasadniczą minę. — Sama pamiętam, jak załapywałam się na matkę z dzieckiem. Znalazł się opiekun matek i ciężarnych.

— Trzeba mieć do serca, albo spadające klapki... Latem schylałam się na stopniach i wolałam: o, but mi spadł! I kulturalnie chyłkiem do pierwszego wolnego miejsca...

— Tu każdy siebie wart, dzicz perfumowana — powiedziała nauczycielka.

— Gdzie pani perfumy widziała, ja tam czuję skarpety — sprostowała pani Henia. — Jakby pani podejrzewała parę lat, zaraz by się pani pogląd wyprostował.

— Ile to ludzi dojeżdża... — spuściła z tonu nauczycielka. — Narodu, a narodu...

— Gównu kogo naród obchodzi. Dojeżdża, to dojeżdża. Kogo interesuje, ile nas dojeżdża? Albo, że jedziem jak śledzie? — podniecała się pani Henia. — Jak jakieś bydlę! Ale o bydle to chociaż mówią z obywatelską troską...

— Było to koło zamachowe naszej gospodarki — powiedział Flugaty. — Sam slyszalem w telewizji.

— Ty to się, dziecko, dobrze wykierujesz — zauważyła pani Henia.

— Słowo daję — bronił się Flugaty. — Patrzy pani, nasz zjechał. Siadziemy na boku?

— Dajcie kierowcy kartę odbić. A swoją drogą tylko na naszym stanowisku nie ma barierki, ciekawe dlaczego zabrali? — zamyśliła się pani Henia. — Może, żeby ci bez biletów nie tarasowali drogi miesięcznym?

— Na pewno, pani Heniu. Oni tylko o miesięcznych myślą — wtrąciła się rosła bruneta z szalikiem. Od paru dni nie udało mi się wsiąść w autobus z mojej rodziny.

— Chłopy, baby — zarządziła pani Henia — Formuj szyk, bo kierowca nie nasz!

Na stanowisku zapanowało poruszenie i taktyczne przemieszanie. Komu wypadła spalona pozycja, mógł tylko liczyć na otwarcie tylnych

drzwi. Również mógł się przeliczyć. W zwartym tłumie zrobiło się znacznie cieplej.

— Wszyscy myślą, że tylko oni dojeżdżają — zwróciła się egzaltowanym szeptem nauczycielka. — Ja jestem formalnie chora, jeżeli dwa razy w tygodniu muszę te dwadzieścia cztery kilometry przejechać. — Zamilkła na chwilę. — Szybko się teraz ściemnia — dorzuciła. — Po długim lecie trudno zrozumieć, że zimno będzie. Ja za brak słońca mam formalnie pretensję do Pana Boga. Może grzeszę? Ale ja patrzeć nie mogę na te pomarańczowe światła i błyszczący asfalt. Nic, tylko noc i noc, albo szarówka. Flugaty czy jak tam, codziennie wstaje przed piątą. A kiedy ma się uczyć? A każda z tych pań kiedy posprząta? Zje, trochę pogada, przyszyje oberwane w autobusie guziki i zaraz śpi. Polska dojeżdżająca ma podkrążone oczy...

— Postoiemy — powiedział ktoś ze środka tłumy — bo kierowca znowu sobie poszedł. — Kto dziś czytał gazety? Karol, czytałeś „Sztandar”? Ja, kurwa, nie zapomnę, jak staliśmy tu ze trzy godziny, a jeden szczył opowiadał, za co dawał kolegium, tylko niedokładnie pamiętał, kurwa. A taki dziadek się na niego denerwował, bo nie czytał. Pójdzie pan na plac, to się dowie — mówił szczył — a dziadek go w łeb.

— Nie dziadek, tylko ja — zaszeleścił słaby głos z pierwszego rzędu.

— O, dziadek na pierwszej pozycji, patrz Karol.

Ale już podjechał autobus. Kierowca z uroczystym wyrazem twarzy otworzył drzwi i rozparł się o framugi. Popatrzył, kto się pcha. Tylko z kulturą — uprzedził — bo jazdy nie będzie! — I zaczęło się zdobywanie drzwi, miłczkiem, nieustępliwie, byle ramię dobrze ustawić, a potem krok dalej wyciągnąć nogą wolne miejsce. Kierowca spoglądał jak panisko, z niesmakiem i pogardą.

— Gdzie? — naraz się zirytował.

— Z panem to na koniec światła — zawołała pani Henia.

— Bilet jest? Pokazać!

— Przy wszystkich? — zapytała i już była w środku, a kierowca został z miną jak po słowach.

— Ona jest przebojowa — roześmiała się postawna brunetka, gestem i spojrzeniem dającą odpór szarzyźnie życia. Z tyłu napałi. Nogi kierowcy były coraz bliżej, tylko podejmować pod kolana.

— Gdzie? — znowu zatroszczył się kierowca. — Drzwi by wylamali, pozadeptywali się, gdzie?

Tym razem odpowiedziała mu pokorna cisza. — No! — kierowca podsumował wiernopoddane milczenie.

W autobusie wszyscy upychali się, byle jechać. — Tylko z kulturą, bo nic z tego nie będzie — mruczała pod nosem brunetka.

— Dawać tu tłumoki na kolana — wołała pani Henia ze swojego miejsca.

— Ja też tłumok — zaferował się Casanova w ortalionie.

— A widzę — odskrzyknęła pani Henia bez skrępowań.

— Dziadek żyjesz? — zaciekawił się ktoś znajomy. — Pewnie zabity...

— Panie, zabity to nie! Ja uduszony...

— Czujny dziadek — roześmiało się towarzysstwo. I autobus ruszył ociężale. W lustrze odbijał się odęty pysk kierowcy, który tylko dwa razy przemówił ludzkim głosem, kiedy witał znajomych.

— Kultura dla wybranych — przywodziła brunetka. — Nie to, co w Transpedzie. Wsiada konduktor i mówi: dzień dobry państwu. A kierowca najpierw zabiera kobiety w ciąży.

— Transped ma gorszy sprzęt, a lepszych ludzi. To normalne — powiedział blondyn z powiekami na zakładkę, jakby pochodził ze zdegenerowanej arystokracji. — Chamstwo wyrasta z awansu społecznego.

Jednak wszyscy jechali i to było najważniejsze. Powoli przygasły emocje wywołane wsiadaniem. Twarze nabierały zubożenia. Dopiero teraz wychodził pod oczami dojeżdżających cień przedbrasków, który nie miał czasu zniknąć, jak słusznie zauważyła nauczycielka.

NIE, bratku, sam to ty po Peerelu jeździć nie będziesz — powiedział ojciec, a matka go poparła. Rodzice byli zdania, że piętnastoletniemu chłopakowi przysługuje samodzielność, ale nie aż tak wielka. Pozwolili mu na dwa bliźkie wypadki, z soboty na niedzielę, poza miasto. Grześ jednak nie przepadał za noclegami w schroniskach młodzieżowych w Łęcznej czy Ludwinowie. Drażniły go różne typy zatrzymujące się tam i tłok. Postanowił pierwszą połowę sierpnia spędzić na działce stryjka Mietka. Strzyjek w tym czasie wybierał się w góry i chętnie przystał na jego propozycję. Ucieszył się, że działka będzie pod opieką. Rodzice też byli radzi. Działkę od domu dzielił półgodzinny spacer.

W ubiegłym roku raz tylko odwiedził stryjka. Na prośbę matki. Przyniósł wtedy do domu pomidory, a także małe ogórki do kwaszenia. Potem na działkę nie chodził. Nudził się w towarzystwie stryjka, bo strzyjek był gadułą. Wolałby nawet kłopotliwe pytania

— Patrzę na ciebie od paru dni — powiedział to Grzesia.

— To nie trudnego. Wyleguję się na kocu i czytam.

— Nic nie r bisz na działce.

— Czytam, podlewam kwiaty i warzywa.

— Chwasty się rozplenili — orzekł sąsiad i zapalił fajkę, wyjaśnił: — Kurzę fajkę.

— Widzę. Nie wiedziałem, że nie palił pan fajki.

Mówienie komuś, że się pali fajkę, podczas kiedy ten ktoś nie wie, że się jej nie paliło, wydawało się chłopcu całkiem zbędne.

— Ty pewno nie masz kartki na papierosy, za młodyś. Ja bym odkupił.

— Nie mam — przyznał Grześ, ale ponieważ dotknęła go uwaga sąsiada dotycząca wieku, zagadnął: — Dlaczego tak wysoko ogradza pan działkę? Nie wystarczy na półtora metra?

— Łobuzy kradną owoce, pomidory, i co się da.

w ludziach, których drażnią znaki drogowe.

Wczesnym wieczorem Grześ jeszcze był na działce. Siedział w fotelu na biegunach i czytał. Julian Gerd malował na zielono i żółto okiennice swojego domku. Grzesłowi wyjaśnił, że okiennice są lepsze do krat, ponieważ dokładnie zakrywają okna, w nocy nikt szyby nie wybije. W pewnej chwili Gerd rzucił kawałkiem drewna. Zaoił gołębia, który zapaskudził świeżo pomalowaną okiennicę. Trzymał ptaka w ręce i rozglądał się, gdzie go wyrzucić. Wyniósł w końcu poza działkę. Wrócił i zaczął usuwać zanieczyszczenie po gołębiu. Chłopak udawał przed Gerdem, że nie dostrzegł śmierci ptaka. Próbował nadal czytać, ale tak naprawdę to obserwował sąsiada.

Alejką nadeszła dziewczyna. Na jej ramieniu wisiła sportowa torba.

— Masz coś do picia? — zapytała Grzesia.

— Mam.

— Idź po to piwo, co? — zwróciła się dziewczyna do Grzesia. — Forsz, masz?

— Mam.

Poszedł po piwo. Nie martwił się specjalnie, że coś zniknie z domku stryja razem z dziewczyną. Garnków nieznajoma nie ukradnie, ani fotela na biegunach.

Wrócił z piwem po godzinie. Dziewczyny nie zastał na działce stryja. Jej torba leżała w domku pod stołem. Tak jakoś krzywo leżała jakby ją ktoś tam rzucił, zostawił w pośpiechu. Grześ poszedł do bramy działki sąsiada. Była zamknięta.

— Niedobrze — mruknął.

Przełaził ogrodzenie i wszedł do domku. Na wąskim tapczanie leżała dziewczyna, a na niej sąsiad. Dziewczyna wyla się pod sąsiadem, obydwie dłonie trzymała na jego głowie. Wyglądało na to, że tymi drobnymi dłońmi próbuje oddepchnąć dużę, ciężki leb gwałciciela. Grześ chwycił ze stołu butelkę po winie i grzmotnął nią sąsiada w kark.

NIEZALEŻNY SĄSIAD

Andrzej Gerłowski

niż to gładzenie. Teraz jednak, skoro strzyjek wyjeżdża, człowiek nie będzie skazany na słuchanie o tym, co starszy pan sądzi o polityce, gospodarce, modzie i ogólnym rozwydrzeniu.

Przed wyjazdem strzyjek powiedział:

— Mam nowego sąsiada. Łopianko odsprzedał mu działkę. Dziwny ten sąsiad. Zamieszkał na działce.

— To źle, stryju?

— A dobrze, jeśli ktoś, zamiast mieszkać w domu, mieszka na działce?

— A jeśli ktoś nie ma innego domu, to dobrze?

— Na sąsiada uważaj — odparł strzyjek i wręczył mu klucze od domku.

Chłopiec pomyślał, że to raczej sąsiad powinien uważać na tych, którzy przychodzą i odchodzą. Ludzie osiadli są przecież zawsze najbardziej zagrożeni.

Działkę stryjka dzieliła od działki sąsiada alejka szeroka na dwa metry. Sąsiad był młody, może miał trzydzieści lat. Grześ jednak, o czym nie wiedział, że to typowe dla chłopaków w jego wieku, uważał go za człowieka więcej niż bardzo dojrzałego.

Sąsiad nazywał się Julian Gerd. Na jego działkę wchodziło się przez bramę, murywaną, najeżoną u góry barwnym, matowym szkłem. Swoje imię i nazwisko wypisał na solidnej, metalowej tabliczce, którą przyspawał do żelaznego słupka. Nad nazwiskiem widniał napis „Własność!”, ozdobiony wykrzyknikiem koloru pomarańczowego. Wykrzyknik był mniej widoczny na białym tle tablicy niż fioletowe wyrazy informujące, do kogo działka należy. Grześ powiedział o tym sąsiadowi. Nazajutrz zobaczył na tablicy trzy pomarańczowe wykrzykniki. Pomyślał, że Gerd jest facetem, który liczy się z cudzym zdaniem.

Tego dnia sąsiad ogradzając działkę drutem.

— Pana ogrodzenie jest w sam raz dla Kozakiewicza.

— Słyszałem o nim — odrzekł sąsiad i wrócił do swoich zajęć. Po kilku minutach zawołał: — On tu skakać nie będzie!

Grześ nie wiedział, czy sąsiad żartuje, czy też apewnia się, że Kozakiewicz z tyczką nie przyjdzie. Od faceta, który maluje trzy pomarańczowe wykrzykniki, dużo można oczekiwać.

Po południu niebo zachmurzyło się, ale deszcz nie padał, chociaż ptaki zachowywały się, jakby zaraz miało lunąć. Latały nisko i łapały owady. Tylko gołębiom nie chciało się wysilać. Ich para usiadła na rynnie domku Gerda. Sąsiad pokroił skórkę od chleba na drobne kawałki. Sypnął nimi na ścieżkę. Gołębie sfrunęły z rynny.

— Obrywają dach — zawołał sąsiad do Grzesia. — Dałbyś i ty im coś do dziobania. Mniej paskudziłyby u mnie. Gówno ptasie strasznie żrące.

Grześ wyniósł z domku bułkę, pokruszył i rzucił gołębiom.

— Cicho tutaj — odezwał się sąsiad. — Można pomieszkać. I Bystrzyca nie cuchnie.

— Strzyjek mówił, że pan tu się wprowadził na stałe.

— A jakże! Teraz mam urlop i robię tu generalny porządek. Piec elektryczny na zimę kupiłem. Tu luźniej niż w hotelu robotniczym. Na trzech mieliśmy jeden pokój. Tam człowiek zależny od kumpi. — Sąsiad nabił tytoniem fajkę, zapalił: — I w pracy zależny. Za kierowcę jestem. Na drodze przepisy, nakazy, zakazy. Nie przyjemnego.

— Dzięki temu mamy porządek.

— E, porządek to ja będę miał tu, u siebie. Pokażę ci, jak już zrobić.

— Dobrze — zgodził się Grześ i wszedł do domku stryja.

Nie chciał dłużej rozmawiać z sąsiadem. Jest coś denerwującego

— Mogę wejść?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, otworzyła furtkę i weszła na teren działki. Podał jej butelkę wody mineralnej.

— Piwa nie pijesz? — zapytała.

— Nie.

— Szkoda.

Zajęła miejsce Grzesia na fotelu. Przyglądała się, jak Gerd wywozi na tacze jakiś gruz.

— Sąsiad?

Grześ przytaknął.

— Zbudował tu całą fortecę — stwierdziła. — Szkoda, że nie masz piwa. Suszy mnie.

Rozbijała fotel. Grześ widział, jak pod koszulą falują duże piersi dziewczyny.

— Sporo zainwestował w tę swoją fortecę — powiedziała.

— On tu mieszka. — Po namyśle dodał: — Chyba lepiej na niego uważać. Dzisiaj zabił gołębia tylko dlatego, że mu zanieczyścił okiennicę.

— No cóż, nie lubi smrodu.

— Poważnie mówię... — Grześ przez chwilę wahał się, czy ma dziewczynie mówić „pani”, czy „ty”. Wyglądała bardzo młodo, ale wyczuwał za tym wyglądem człowieka dorosłego. — Niech pani spojrzy na wejście najeżone szkłem, na tę metalową tablicę naspikowaną wykrzyknikami. Dziwny facet.

— Mówisz, że tu mieszka? — zapytała dziewczyna. Znowu rozbijała fotel. — Nie można gdzieś nabyć piwa?

— Można, ale trzeba stać w kolejce.

— Zmęczona jestem.

Wrócił Gerd z pustą taczką. — Halo, proszę pana?! — zawołała do niego dziewczyna. — Wie pan, za jaką literę zaczynają się imiona w języku polskim?

Sąsiad postawił taczkę.

— Wszystkie zaczynają się na „j” — powiedziała dziewczyna. — Na przykład Jadam, Jewa, a tylko jedno zaczyna się na „l”, Luljan.

Roześmieli się sąsiad i dziewczyna.

— Ma pan może papierosa?

Gerd wyciągnął z kieszeni popularne.

— Nie! — wrzasnęła dziewczyna.

— Nie! Dziewczyna opuściła spódnice na uda.

— Nie pani nie zrobił? — zapytała Grzesia.

— Dzieciaku — powiedziała — idź stąd. On wstanie i cię zatłucze.

Ale sąsiad nie wstał. Z uszu pociekła mu krew.

— Zle — powiedziała dziewczyna. — Trzeba wezwać lekarza.

— Nie pani nie zrobił? — powtórzył Grześ. — Pani z nim walczyła. Widziałem.

— Zle widziałeś. Pędź do telefonu.

— Nie ucieknij pani? Bo wszystko będzie na mnie.

— Nie ucieknę. I nie będzie na ciebie.

Sąsiad skrobał palcami podłogę.

— O Boże! — krzyknęła dziewczyna.

Wybiegła z domku. Dotrzymała słowa, nie uciekła. Zaraz po niej przybyli na działkę lekarz, dwaj pielęgniarze i dwaj milicjanci. Lekarz, kiedy pielęgniarze wynieśli Gerda, powiedział do dziewczyny: — Niewykluczone, że do końca życia będzie nosić gorset.

Grześ zeznał milicjantom, że myślał, iż sąsiad gwałci dziewczynę. Dziewczyna powiedziała, że Grześ mógł tak myśleć, toż to jeszcze dzieciak, ale gwałtu nie było, natomiast ona, pełnoletnia osoba, może postępować jak chce, jeśli nie jest to sprzeczne z prawem.

Grześ, już po paru dniach od awantury, gapił się na bramę działki sąsiada. Gapił się na jej górę najeżoną kolorowymi odłamkami szkła. Wziął motykę do ręki, walnął nią w to szkło. Głuchy los kot. Chłopiec uderzył jeszcze raz. Znowu ten głuchy stukot. Kawałki różnobarwnej gumy z pociętych pilek imitowały szkło.

— Drut okalający działkę też niekolezasty — powiedział Grześ głośno.

Potem, po wielu tygodniach, doszedł do niewesołego wniosku, bo ciągle myślał o tej sprawie, że żadna forteca, co bardzo możliwe, nie chroni przed dobrymi ludźmi!

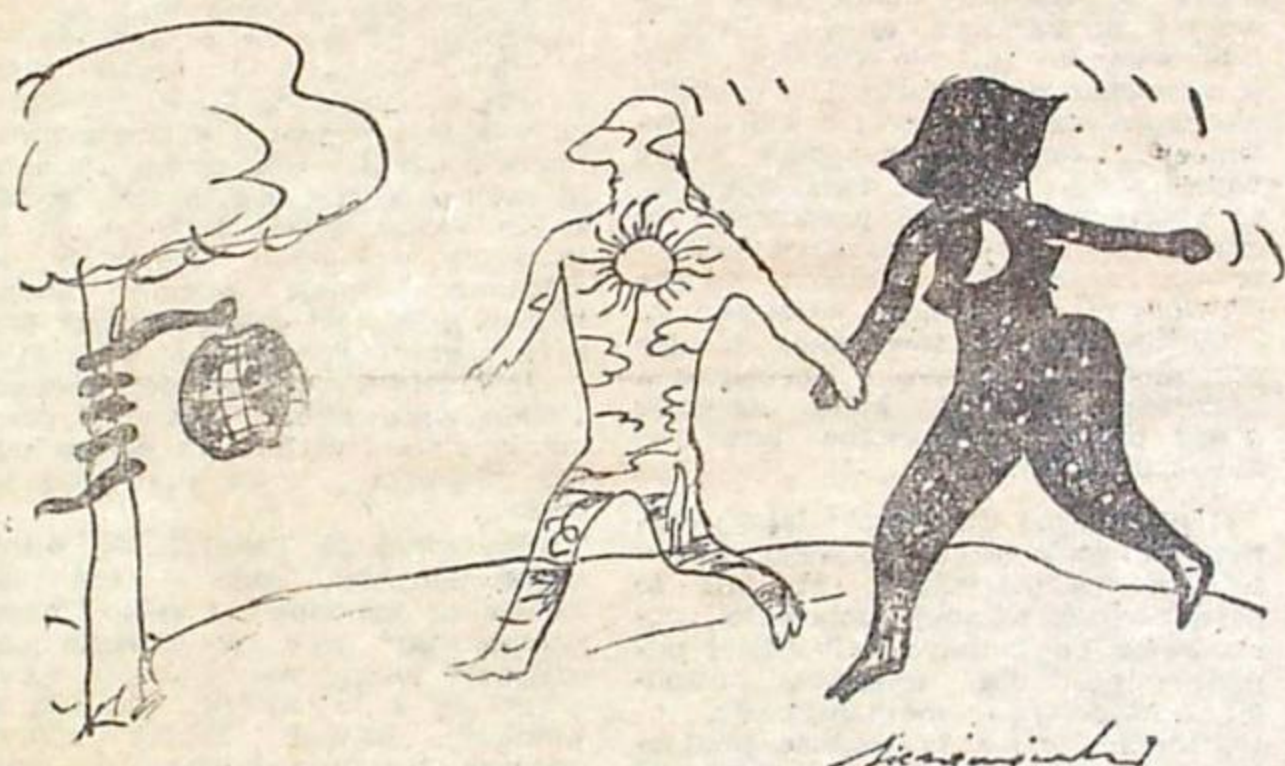
EROTYKI

* * *
pejzaż tatrzański w głębokiej zieleni obarczony
przelotnością związku naszych ramion
bezsprzeczny świadek spieszonych doznań
za jego sprawą coraz mocniej
rozbliźnia się uparta pamięć: nas
przypadkowych kochanków niespełnionych miłości
czułych i gwałtownych w chwili niedorzecznej
jakby po raz pierwszy jak ostatni raz

* * *
w obłęd wchodzi się bez pośpiechu i zupełnie
normalnie wśród dni do dni podobnych pustych
niespokojnych i groźnych wśród nocy nieruchomych
z marzeń wypalonych popielnicą pełną

w obłęd wchodzi się zupełnie niepostrzeżenie
ze świadectwem ubóstwa rozpacz i bólu
nie oszczędzonego nikomu z kalectwem miłości
bez białych cel pizam i odjętych klamek
z agresją zakrzepłą w rozbitym talerzu

uwierz mi niewielu ludziom mogę to powiedzieć



* * *
nie mówisz że na zawsze
cicho otwierasz drzwi i z uśmiechem
zapraszasz mnie w mroczną kaplicę
swoich ramion zanim przekręcę klucz
wstępujesz w moje życie na filiżankę
gorącej herbaty i nie pytając o pozwolenie
śmiało szukasz miejsc czułych i tajemnych
łagodnie mijasz przestrzeń nieufności
na moje szczęście na moje



Rys. Zbigniew Szezielowski



Rys. Waldemar Rukół

* * *
pomóż mi pomóż mi przetrwać tę noc
zanim blade światło oswoi mnie z lękiem
zanim pieśń ulicy przekrzyknie niepokój
pomóż mi pomóż przetrwać tę noc
w miłosierdziu swoich rąk zamknij jeszcze
niesklamana czułość mojej skóry
przyjmij prawdziwą aż do krwi
uchroń od snów upiorniejących
nie dokonuj wyboru
nie mów o miłości
nie ufaj
po prostu pomóż mi przetrwać tę noc

* * *
a ty jeszcze ciągle sięgasz po moje ciało
po tę lodyżkę przejrzystą niebanalną kruchość
po to łagodne podskórne pulsowanie
którym jeszcze trwasz we mnie lecz
tylko do czasu w którym z drżeniem
odeszliśmy w imię świętości spokoju

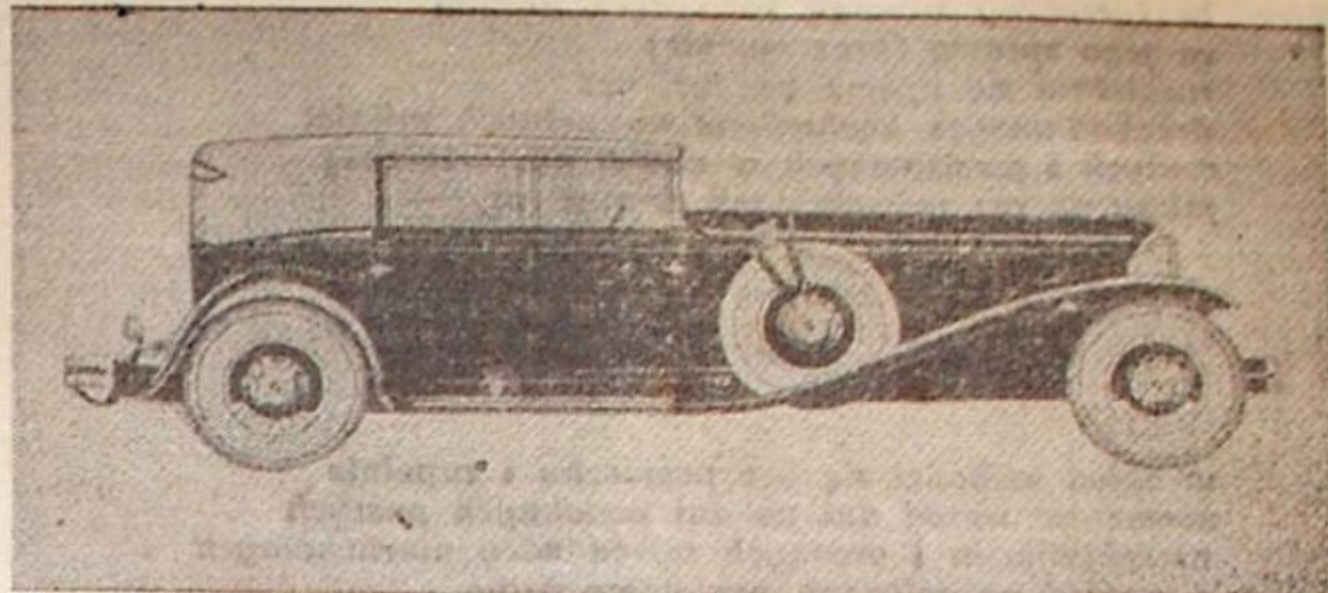
* * *
a ty czemu jeszcze ciągle reagujesz
na smukłą długość moich nóg
na włosów sennie odgarnięcie i z całą
elegancją w butelce koniaku
mnożysz nienawiść do mężczyzn
którzy wypełnią mnie w ciemności

Pionierskie i szalone lata

Mieczysław Kurzątkowski

NA POCZĄTKU była biedka, niemal zapomniany już dziś typ dwukółowego pojazdu konnego, do której Karl Benz wmontował za ławeczką silnik spalinowy, a dla równowagi i kierowania wehikulem, zamiast dyszla i konia, zainstalował z przodu jedno koło. W tym samym czasie Gottlieb Daimler wprowadził motor między tylnymi kołami kanciastej bryczki typu zwanego w Polsce „amerykanem”. Dla obu wynalazców było to urzeczywistnieniem myśli o lekkim samobieżnym pojeździe, którego początki nie budziły jednak optymizmu. „Papa” Benz ubolewał, że ludzie oglądają jego „Patent-Motorwagen” jako ciekawostkę, natomiast nikt nie kwapił się do zakupu i użytkowania. Na światowej wystawie w Paryżu w 1889 r. samojazdy Daimlera i Benz budziły kpiny. Nikt nie miał — i chyba nie mógł mieć — wyobrażenia, iż oto zrodził się automobil. Na razie

motorową karetę Renaulta należy zaliczyć do nadwozi dwusegmentowych. Karoseria dwusegmentowa (maska + kabina, a w autach tylnosilnikowych bagażnik + kabina) oraz trójsegmentowa (maska + kabina + bagażnik lub odwrotnie) to dwie formuły, w których zamyka się kształtowanie nadwozia samochodu osobowego od jego czasów pionierskich do chwili obecnej. Dwa lub trzy segmenty, których forma i wzajemne proporcje zmieniają się w trakcie ewolucji auta, tworzą kadłub karoserii. Jest on oparciem dla szeregu dodatkowych składników, jak błotniki, zderzaki, reflektory, pancierz chłodnicy, koło zapasowe, doczepny kufer, które na przestrzeni historii samochodu w różnym stopniu są wyodrębniane lub integrowane z kadłubem, bądź występują tylko w pewnych okresach. Kadłub jest też płaszczyzną dla rozmaitych czysto zdobniczych ornamentów, konturów, listew



Klasycznie piękny kabriolet Cord L-29 z 1929 r.

radoksalnie, ale dziś nie jest możliwe odtworzenie bloku silnika Bugatti zgodnie z pierwotną technologią.

cym, znakiem rozpoznawczym poszczególnych wytwórni. Jej kształty, skomponowane w pierwszym dziesięcioleciu wieku dla Mercedesa, Rolls-Royce'a, Coventry-Daimlera, w przetworzonej formie trwają do dziś niby tarcze herbowe świadczące o starym szlachectwie.

W 1927 roku R. Morsztyn pisał, że „jeśli chodzi o logikę konstrukcji, to zdawało by się, że obecne formy karoserii powinny być definitywne. [...] Ulepszenia tyczyć się raczej będą sposobów wykonania i materiałów używanych do karoserii, form jednak i linii wybitnie już nie zmienią”. Gdy w niespełna 10 lat później niepodzielnie zapanowały nadwozia o linii „opływowej”, twierdzenia powyższe mogły budzić tylko wesołość. Dziś wiadomo, że autor wyrażał swe przekonanie w czasie, gdy samochód osiągnął krótkotrwałą harmonijną zgodność między stawianymi przed nim wymaganiami i możliwością ich spełnienia, między poziomem technicznym i zewnętrznym kształtem karoserii, która uzyskuje wtedy proporcje uznawane teraz za klasycznie piękne.

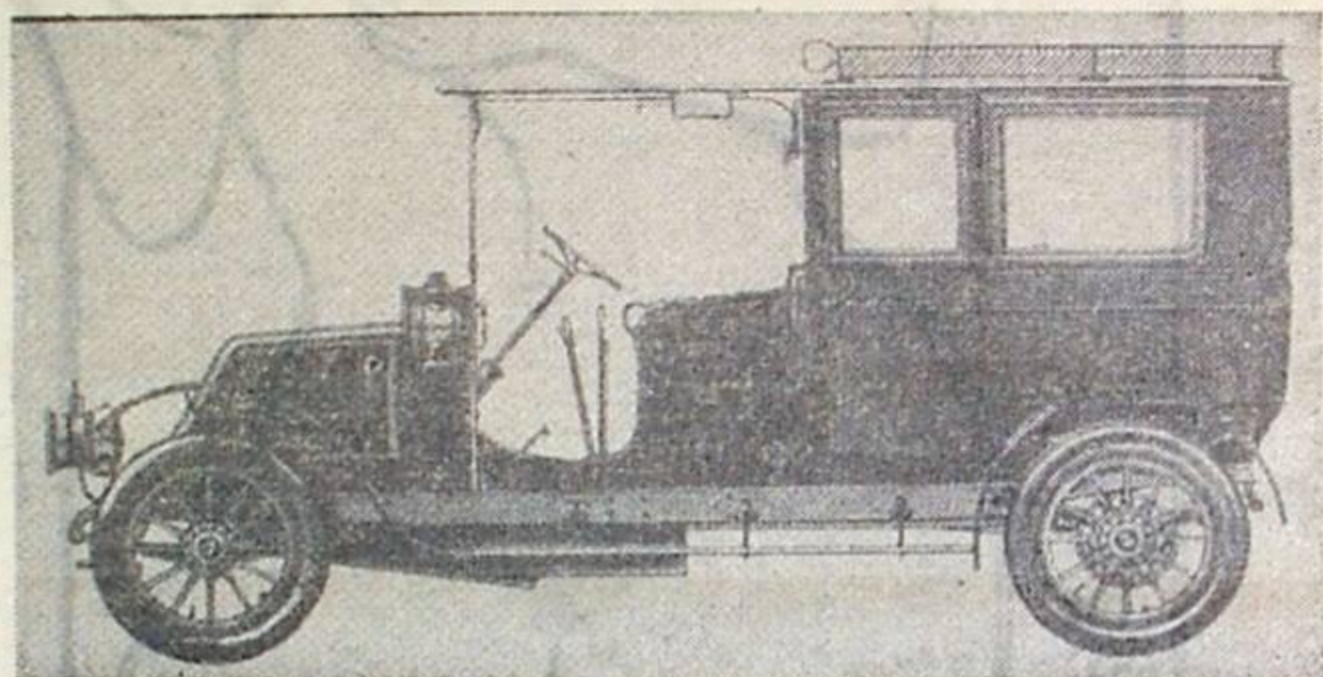
W autach wieloosobowych nie przyjął się zwyczaj siadania pasażerów naprzeciwko siebie, jak w konnych karetkach, dyliżansach i landach, lecz twarzą do kierunku jazdy. Wobec tego powstają nadwozia czterodrzwiowe. Pojawia się przednia szyba, która była zbyt ciężka przy niewielkich szybkościach. Coraz więcej budowanych jest karoserii, w których dach, stały lub składany obejmuje również miejsce kierowcy. W celu zakrycia ramy i innych elementów podwozia, widocznych poniżej wysoko zawieszonych karoserii, zostaje wprowadzony bawolet, poziomy kołnierz wypełniający odstęp między stopniem i dolną krawędzią kadłuba.

O pierwszych dwudziestu latach historii nadwozia samochodowego (1899—1919) można powiedzieć, że jest to poszukiwanie własnej osobowości, dochodzenie do kształtu najbardziej odpowiedniego dla drogowego samobieżnego pojazdu mechanicznego, uzyskującego coraz to większe prędkości. Następuje powolne oddalanie się od formy wehikulu konnego. Maski, coraz dłuższe w miarę rozbudowy silnika i towarzyszących mu układów staje się nieodłącznym składnikiem auta.

Typy pojazdów konnych — faeton, coupé, kabriolet, lando — otrzymują kształt automobilowy i tylko nazwą przypominają swe pochodzenie. Ale egzystują jeszcze pewne formy wywodzące się z hipomobilii. Zdarzają się wehikule, których kabina sprawia wrażenie karety postawionej na samochodzie. Bardzo często w autach zamkniętych lub odkrywanych przedział kierowcy pozostaje nie osłonięty, a jeżeli nawet ma dach, to pozbawiony jest szyb bocznych i drzwi. Powszechnie stosowane jest „powozowe” rozwiązanie tylnej ściany, lukowo zagiętej u dołu w stronę osi.

Bardzo wcześnie ustaliło się rzutuujące na wygląd zewnętrzny rozmieszczenie podstawowych elementów podwozia, uważane do dziś za klasyczne: silnik z przodu, usytuowany za osią, napęd na koła tylne, chłodnica przed silnikiem. Chłodnica, rozmaicie formowana, przez długi czas pozostaje głównym czynnikiem indywidualizują-

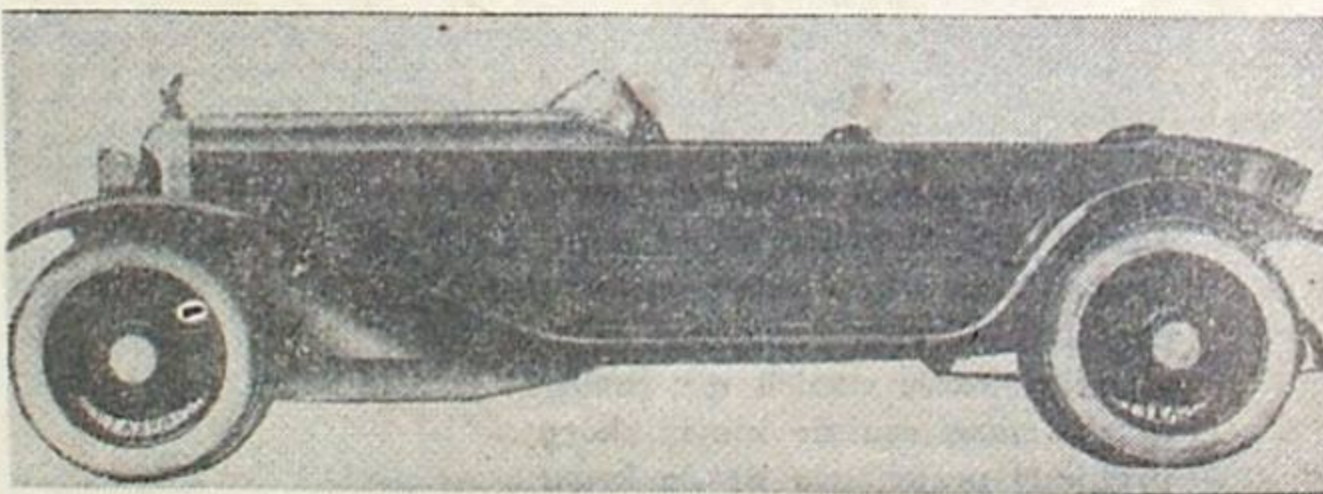
Maska okrywająca silnik nie jest jeszcze stopiona z kabiną w integralny kadłub; ma formę pudła o równoległych bokach, przystawionego do szerzej odeń czołowej ściany kabiny; zdaje się być dodatkiem do niej. Jest w



Limuzyna Renault z 1906 r.

był to kuriozalny hipomobil bez koni. Gdy już znaleźli się pierwsi nabywcy, „Rheinische Gasmotorenfabrik Benz et Cie” w Mannheimie oferowała przez kilkanaście lat niemal pełny asortyment powozów — faetonów, landole-

oraz dla elementów uzasadnionych względami technicznymi, a wykorzystywanych dla indywidualizowania karoserii lub podniesienia jej estetyki, jak przednie i boczne wloty powietrza, tłoczenia itp.



Torpedo Rolland-Pilain z 1925 r.

tów, wiktoria, vis-à-vis, dos-à-dos, tonneaux, coupés — wyposażonych w silniki ukryte z tyłu, nad osią. Każdy z tych w ikulów, ciągnięty z jakiegoś powodu przez konie, nie wyróżniałby się na ulicy wśród hipomobilii.

W 1892 r., a więc w sześć lat od wynalezienia nowego środka lokomocji, Louis-René Panhard i Emile Levassor zmanifestowali w kształcie pojazdu istnienie silnika, lokując motor w skrzynkowej obudowie nad przednią osią bryczki. Był to pierwszy krok ku własnej formie samochodu. W 1899 r. Louis Renault umieścił silnik w półcylindrycznej osłonie z przodu karety coupé. Stworzył w ten sposób pierwszą karoserię automobilową, dał początek nowemu gatunkowi twórczości artystycznej oraz nowej dziedzinie nauk technicznych i przemysłu, jakimi są kształtowanie i budowa nadwozi.

Według dziś używanej klasyfikacji,

Do niedawna ewolucja formy nadwozia widziana była jako nieustanne osiaganie kształtu coraz doskonalszego. Tylko aktualnie produkowany samochód zasługiwał na miano pięknego; stary mógł być co najwyżej interesujący jako poczelwy lecz nieporadny antenat nowego, pod każdym względem wspanialszego auta. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zmieniło się spojrzenie na przeszłość samochodu. Nastąpił proces wartościowania przebytych etapów, uniezależniony od kryterium ostatnio osiągniętego poziomu sprawności technicznej i od współcześnie panujących tendencji estetycznych. Po trzech ćwierćwieczach od narodzin, cywilizacja samochodowa osiągnęła dojrzałość pozwalającą na zobiektywizowane potraktowanie własnej tradycji. I okazało się, że w historii auta występują zjawiska, które można traktować w kategoriach doskonałości mechanicznej i estetycznej; że minęły — może bezpowrotnie — czasy karoserii budowanej wyłącznie z myślą o pięknym kształcie; że pewne rozwiązania techniczne osiągalne były tylko w dawnych warunkach. Zabrzmia to pa-



Josephine Baker i jej Delage (1930 r.)

tym co z myślenia nadał kategorią pojazdu konnego. Cała inwencja i wysiłek „karosiera” skupia się na elegancji pasażerskiej części wozu: silnik i jego osłona to domena konstruktora. Posiadacz samochodu poddaje się jeszcze w większym stopniu kultowi komfortu jazdy niż kultowi maszyny. „Maszynistyczne” fascynacje ograniczają się do sfer technicznych, sportowych i awangardy artystycznej. Dworski malarz wielkiej burżuazji, Hubert von Herkomer, w swym alegorycznym obrazie „Die Zukunft ans Automobil gefesselt” przedstawia skąpo odzianą kobietę, wyobrażającą Przyszłość, przywiązaną do maski nie wozu sportowego, lecz luksusowego Daimlera.

Sir Hubert był jednak nie tylko malarzem salonowym, zaszczyconym tytułem lorda. Urzędującym samochodem, zainspirował pierwszy w historii, odbywający się regularnie co roku (1905—



Reklama samochodu Talbot w tygodniku „L'Illustration” z 1930 r.

1910), rajd automobilowy. Jako fundator nagrody, złożonej z 10 tysięcy marek i portretu zwycięzcy jego pędzla, miał wpływ na regulamin. I za jego to sprawą w programie, oprócz jazdy długodystansowej, wyścigu górskiego i próby szybkości, znalazł się też konkurs elegancji. Był to jeden z pierwszych — jeśli nie pierwszy — przejaw rywalizacji w dziedzinie estetyki nadwozia.

Pierwsza wojna światowa przyniosła potwierdzenie wyższości samochodu nad innymi środkami transportu lądowego. Paryska taksówka, znana jako „taxi de la Marne”, stała się tego symbolem, a zarazem narodową relikwią, eksponowaną w kilku egzemplarzach w muzeach Francji.

Dopełnił się czas poszukiwania najwłaściwszej dla auta formuły konstrukcyjnej i nadwoziowej. Rozpoczął się okres dążenia do doskonałości, poszukiwania samochodu wspaniałego, a zarazem idealnie pięknego, okres, któremu koniec dał i wielki kryzys 1929—1933, i zmiany w technologii produkcji. Fascynacja techniczną stroną auta prowadzi do wyszukanych rozwiązań, osiągniętych apogee w monstrualnych 16-cylindrowych silnikach, przeznaczonych dla użytkowych aut osobowych. Kult maszyny znajduje wyraz w dbałości o motor nie tylko wysoce sprawny, lecz także pięknie wyglądający. W ekskluzywnych samochodach, po podniesieniu maski można było podziwiać arcydzieła techniki, jak zniszczone marzenia futurystów.

Samochód staje się atrybutem wyższych sfer, nieodzownym rekwizytem stylu bycia obowiązującego „society”. Liczne firmy produkują auta wyłącznie dla niej oraz dla niej pracują warsztaty karoseryjne. Samochody z nadwoziami wykonanymi na zamówienie, niepowtarzalnymi, mają czę-

sto bardzo ograniczone „różnicowanie”; w coupé-de-ville zabawia się interesy na mieście jeździ na przyjęcia i do teatru; dwumiejscowym kabrioletem odbywa się przejażdżki, udaje się na wyścigi konne, regaty lub golfa oraz rywalizuje się na konkursach piękności. Za kierownicą coraz częściej zasiada piękna dama i dla niej w znacznej mierze tworzą artyści karoseryjni. Ale jednocześnie na drugim biegunie znajduje się poszukiwanie formuły samochodu popularnego, produkowanego tańszym, jak najbardziej dostępnym, tanim i łatwym w eksploatacji.

Z biegiem lat dwudziestych wykształcają się podstawowe kanony estetyki nadwozia. Maski, trapezowato rozszerzająca się od niołdniczy ku bokom kabiny, tworzy z nią jednolity kadłub, a górna krawędź maski ma wypadać na jednym poziomie z dolną linią okien. Jedynie sportowe torpedy nie poddaje się tej drugiej regule. Jego maska, wyższa od reszty kadłuba, każe domyślać się ukrytych pod nią niezwykłych mocy. Błotniki przestają być tylko czysto praktycznym zabezpieczeniem. Ich ciągła, łagodnie, miękko wyginana linia staje się elementem współdecydującym o pięknie karoserii, a w widoku od przodu zdają się one uskrzydlać srebrno połyskującą chłodnicę. Wówczas, w latach dwudziestych, błotnik nosił nazwę wachlarza lub skrzydła, bardziej pasującą do jego wytwornej formy, niż obecne, kojarzące się z brudem określenie. Koło zapasowe, do tej pory mocowane w różny sposób z boku nadwozia, teraz uzyskuje miejsce w błotniku, obok maski i staje się elementem dekorującym, atrybutem „rasowej” linii.

W latach dwudziestych wykształcają się nowe typy nadwozi. Jest to dwumiejscowy kabriolet lub faeton, z kabiną umieszczoną niemal pośrodku wozu i z tyłem prawie tak długim jak maska, oraz kabriolet-coupé i coach, bez okien obok tylnego siedzenia. Bardzo szybki postęp w dziedzinie konstrukcji nadwozi, umożliwiający budowę karoserii odpornych na wstrząsy i wibracje, powoduje rozwój aut zamkniętych dwu- i czterodrzwiowych, które przed 1930 r. stają się podstawowymi typami samochodów osobowych.

Aerodynamiczne propozycje Paula Jaraya i Edmunda Rumplera, zdemontowane już w latach 1922—23, nie zainteresowały ani producentów, ani nabywców. Niepisany kanon estetyczny każe szukać doskonałych proporcji w zestawieniach geometrycznych figur i krzywych: kwadratu, prostokąta, okręgu i sinusoidy.

W „szalonych latach dwudziestych” podczas konstruowania samochodu nie trzeba było jeszcze liczyć się z różnorodnymi uwarunkowaniami, które przyszyły później, z oszczędnością paliwa i surowców, rygorami bezpieczeństwa podróżujących, załoczeniem ulic i brakiem miejsca do parkowania. Nabywca oszczędzający na benzynie nie kształtował rynku. Przy jeszcze stosunkowo niedużych próbkach eksploatacyjnych nie wyłoniła się praktyczna potrzeba szukania kształtu zmniejszającego opory powietrza, w szybkich autach pokonywane nieokreślonym zwiększaniem mocy silników.

Piękna karoseria końca lat dwudziestych to nadwozie samochodu nie skrepowanego uwarunkowaniami zewnętrznymi, kształtowane tylko z myślą o doskonałych proporcjach, o kształcie powabnym, wytwornym, dystyngowanym. Jest to karoseria samochodu wolnego, nazywanego przez Francuzów (samochód jest dla nich istotą rodzaju żeńskiego) „la reine de la route”, królową dróg. I dlatego dziś karoserie schyłku lat dwudziestych uważane są za klasycznie piękne, choć w porównaniu z osiągniętym obecnie poziomem technicznym i użytkowym są bardzo prymitywne i urągają empirycznej wiedzy z zakresu aerodynamiki.

Okolice sztuki

Kot - art

W STOSUNKU do ludzi trudniących się wykonywaniem ekslibrisów odczuwam tylko jedno: awersję. Najgorsze, że jest to odruch moralnie nieuzasadniony i w gruncie rzeczy naganny, bowiem tradycja takich znaków książkowych sięga w mroki średniowiecza, a nawet jeszcze głębiej w przeszłość, o czym dowiedziałem się z pewnego słownika sztuk pięknych. Na dodatek ekslibris rozwijał się niezłe, kiedy Polska była od morza do



morza. Swego czasu poświęcał się or również pod postacią nerbu rodowego. Krótko mówiąc: jako kulturalny patriota o rozwiniętej świadomości historycznej powinien miłować ekslibrisy i ich producentów.

Tymczasem nie miłuję — może przez instynkt klasowy? Moje nazwisko kończy się co prawda na „ski”, ale biorąc pod uwagę swoje upodobania kulinarne — schabowy z kapustą, śledź z kartoflami, ser owczy ze zbożową polewą — podejrzewam czasami, że pradziad mój był zwykłym kamieniarzem, który owe trzy literki otrzymał za kolaborację z dworem, kosztem „plucia własnej tożsamości klasowej, czego może po cichu żałował, rozdarcie swe wewnętrzne przekazując genetycznie potomkom.

W związku z tym wszystkim próbowano mnie niedawno wytrącić z równowagi, dostarczając „do wglądu” jeden z tegorocznych numerów amerykańskiego czasopisma „Upper and lower case...”, co znaczy: „Duże i małe litery...”. Jest to tytuł znany i wielce ceniony w międzynarodowej typografii, kaligrafii i ilustratorów posługujących się niemal wyłącznie liternictwem, z którego potrafią budować oszałamiające wręcz konstrukcje graficzne.

I otóż w tym numerze „U and I c” znajduje się tekst zatytułowany: „ex libris ex manus ex Kot ex Poland”, przedstawiający postać i działalność Andrzeja Kota z Lublina, o którym zresztą z takim uznaniem pisał niedawno nasz „Projekt”. Ponieważ nigdy dotąd żaden z lubelskich artystów nie znalazł się w polu uwagi tak poważnego czasopisma o zasięgu światowym, zacytujmy obszerniejszy fragment owej publikacji — zaopatrzonej w 24 reprodukcje prac Kota, rozłożone na dwóch kolumnach nowojorskiego wydawnictwa

Wskazując, że od początku swej działalności Kot miał skłonności do żartów graficznych (art-zart), autorka artykułu Marion Muller, stwierdza iż taką formułę znaku lublinianin realizował na okładkach książek i w ekslibrisach, które zawsze „są personalne, nie tylko przez użycie nazwiska, ale także dzięki odniesieniom do wyglądu właściciela, jego osobowości, charakteru, upodobań i wad, możliwości lub nierzadko przez grę słów w nazwisku. Informacje te zdobywa (Kot) przez bezpośrednią obserwację kontrahentów, lub korespondencyjnie, czasami kierując się ich własnymi sugestiami i próbami. W tych małych formach ukazuje on cały swój talent i różne techniki [...] Jak widać na przykładowej kolekcji, nie ma nic dziwnego w Kocie. Jego małe książkowe dziełka są często bardzo zabawne, niż schlebające”.

Dalej autorka zwraca uwagę na coś, co może wydać się sympatycznym „robizmem”, będąc w istocie znakiem sprawy zupełnie poważnej. „Jeśli ktoś będzie miał szczęście dostać list od Andrzeja Kota, prawdopodobnie otrzyma różową kopertę wspaniale ozdobioną”, na której znajdzie litery przekształcające się w kota. „Z własnego doświadczenia wiemy, że list od Kota w poniedziałkowy ranek pomaga zacząć dzień uśmiechem”.

Biorąc pod uwagę sam fakt istnienia takiego czasopisma i jego renomę, każdy zdrowo myślący człowiek dojdzie do wniosku, że ekslibris to rzecz ciągle żywa i nie taka znowu blaha, czy wyłącznie snobistyczna. Po drugie zaś: że jeśli tak znakomita firma propaguje znaki wykonywane przez Andrzeja Kota z Lublina, to jest on ekslibristą wybitnym, a ja natomiast, z tymi swoimi awersjami przypominam żółwia zamkniętego w skorupie jakiejś innej specjalności, dalekiej od tego, czym żyje kulturalne społeczeństwo.



W tej sytuacji wypada mi oświadczyć, całkiem serio, że Andrzeja Kota cenię — ale nie za to, że od wielu lat i z pasją uprawia on ekslibris, lecz za to, że ciągle przekracza konwencje tego gatunku, dopracował się własnej stylistyki (forma plus ideologia), która umożliwia mu charakteryzowanie „modell” i własnego do nich stosunku. Kot jest po prostu artystą, a nie producentem ekslibrisów. „Mówimy tu o wspaniałym grafiku Andrzeju Kocie z Lublina, z Polski”, jak zauważyła Marion Muller.

I.J.K.

„Perfect” pepe, brak kotleta...

Istvan Grabowski

POLSKI boom rockowy trwa, przeżywa nawet swe apogeum. Od wielu lat nie notowaliśmy tylu wykonawców muzyki rytmicznej, tak wielu precyzyjnych, muzycznych laworystów i takiego zainteresowania odbiorców. Na fali powodzenia muzyki młodej generacji, która potwornie nobilitowała rocka, wyrosło w ostatnich latach wiele autentycznych karier. Jedną z największych zrobiła formacja do- wiedziona przez gitarzystę i kompozytora Zbigniewa Holdysa: PERFECT. Śmiało można powiedzieć, że ostatnie dwa lata były nieustającym festiwalem „Perfectu”; systematycznie wygrywał on wszelkie możliwe konkursy i plebiscyty, gromadził największą liczbę słuchaczy na koncertach i każdą piosenkę przemieniał w szlagier. „Autobiografia”, „Nie placz Ewka”, „Pepe wróć”, „Chcemy być sobą”, „Pocztówka do państwa Jareckich”, „Nie bój się tego wszystkiego” i „Co za hałas, co za szum” — to tylko niektóre tytuły z długiej listy perfectowych atrakcji. Są one na tyle chwytliwe i nośne, że „nastoletnia” młodzież traktuje je za swoje, identyfikując się z ich treścią. Niektórzy wręcz twierdzą, że „Perfect” wypowiada ideologię, czy raczej — mitologię młodego pokolenia.

Sam kier do najmłodszych nie należy. Wiekowo można by go zaliczyć do weteranów całego ruchu. Uskrzydla go natomiast wieczna młodość i pobudzająca emocje muzyka. Jest jej wierny od dawna. Zaczynał grać mając lat szesnaście; dużo wtedy nad sobą pracował, słuchał, czytał, próbował, chciał być najbliższą źródła. Najpierw grał w „medycznym” zespole „RH Minus”. Później próbował szczęścia z własną grupą „Dziki Dziecko”, ale ciągle były to tylko przymiarki do czegoś, co nie chciało przyjść. Propozycję występów z Marią Rodowicz potraktował jako wyróżnienie. Miał 19 lat i myślał o zawojowaniu świata. Skrzydła opadły mu dość szybko, bo z Marią kariery nie zrobił. Potem zasilił zespoły „Andrzej i Eliza” oraz „Dwa Plus Jeden”, ciągle pracując w tle. Zniechęcony brakiem satysfakcjonujących efektów, wyjechał Holdys na kilka lat do USA. Okres ten wspomina dziś niechętnie. Grał tam w zespołach gastronomicznych, zaliczając lepsze i gorsze lokale. Gra do kotleta nie jest może powodem do dumy, ale dała mu ona niezłą lekcję: w trudnych, konkurencyjnych warunkach nauczył się dyscypliny. Zdobył też wiele innych doświadczeń i mógł wreszcie zakupić wymarzony sprzęt. Możliwość oglądania i słuchania najlepszych również zrobiła swoje.

Po powrocie do kraju był, jak twierdzi, „naładowany przemyśleniami jak akumulator”. Już wtedy marzył o stworzeniu własnego ansambli. Po skompletowaniu niezłego, opartego na dawnych przyjacielach, składu powstał „Perfect”. Grał inaczej od reszty estradowego towarzystwa, a jednak brakowało mu przysłówkowej kropki nad i. Na scenie i w studiu nagrał. Niezdecydowany stylistycznie, dryfował od melodyjnego popu do agresywnego rocka. W tych produkcjach nie było nerwu i zdecydowanego charakteru. Po licznych ciągach niechętniej „Perfectowi” prasy, zespół wyjechał na dłuższą trasę za Ocean, by powrócić stamtąd w rozsypanym. Bogatemu w pomysły Holdysowi brakowało najwyraźniej markowego solisty. Odnalazł go wreszcie w osobie „trzedzioligowego” piosenkarza, Grzegorza Markowskiego, którego przekonał do porzucenia chaitury i namówił do roboty przy reaktywowaniu firmy pod dawnym szyldem. Od razu chcieli rzucić publiczność na ko-

lana. Muzyczny cel był wyraźnie sprecyzowany — ostry, eksplodujący rytmem rock, poparty na dodatek bliskimi młodemu pokoleniu treściami tekstów. W sylwestrową noc 1980 roku ogłoszony został skład „Perfectu”, a już w styczniu nastąpiła pierwsza szarża piosenkami: „Ale wkoło jest wesoło”, „Bałancie życie”, „Niewiele ci mogę dać” i „Nie placz, Ewka”.

Fani byli istotnie pod wrażeniem nowoczesnego brzmienia i sprawności kapeli, której ambicje sięgały wysoko. Cel ten osiągnęła stosunkowo szybko dzięki pomocy

facet zafunduje jej hotel. Na Wybrzeże trafił za dni pięć czy sześć, ukochany jej bas-gitarzysta jest w zespole, który gra pod wielkim namiotem. Ucieka od bia, bia, bia...bia Dość już tego ma!

Cóż może bardziej zjednać nastolatka, zdegustowanego marnymi postępaniami w nauce i konfliktem z rodzicami, od takiego manifestu „wojności”?



Fot. Serwis Perfect

radia, bo fonografia długo zwlekała z wydaniem dużej płyty „Perfectu”. Ukazała się ona dopiero w połowie 1982 roku, kiedy Holdys dokonał kolejnego „przemebliwania” w zespole i wszystkie niemal przeboje z tego dysku odłożył na półkę. Nie pierwsza to jednak wpadka rodzimej fonografii (a ściślej „Polskich Nagrań”) i nie ostatnia.

Lata spędzone za granicą procentowały; lider okazał się dość wyjątkowo lekką ręką do tworzenia hitów. Chwylił, w zasadzie prostą melodią, ubraną w atrakcyjny kostium rockowy, już po kilku prezentacjach stawała się sławnością tysięcy fanów. Piosenki „Perfectu” trafiały bez pudła w oczekiwania młodych odbiorców, bo też mówiły ich językiem o wątpliwościach, duchowych rozterkach, zdziwieniach i codzienności tego pokolenia.

Tak ucieknij znowu latem jak co rok, na drodze zapij jakis autostop. Jaś dobrze trafi. ■

Katalog młodzieżowych niepokoju i wątpliwości jest w wydaniu „Perfectu” dosyć obszerny. Narrator piosenki „Po co?” kwituje wspomnienia „starych” krótko:

Oh, ja też bym umiał życiu się podlizać, Rybim słupki, zamiast baki zbijać. Też bym się nauczył, że są prawdy względne. Jako prymus skończyłbym uczelnię. Tak, ale po co? Po co? Po co?

Ano właśnie; w przekonaniu niejednego nastolatka nie ma najmniejszego sensu trudzić się nad książkami, skoro nauka wiedzie wprost do gnuśnego biura, gdzie spokojnie można strześć się do emerytury. A gdzie romantyzm, emocje, mocne wrażenia i werwa życia? Unormowana praca ogłupia już dostatecznie rodziców, że przemawiają teraz niezrozumiałym językiem. Życie dorosłych jest mdłe i ponure, człowiek tkwi w nieustannym kleracie, w sklepach wciąż taśmowcowa kolejka, a pełnego piwa (w slang: PEPE) na ukojenie trosk znów nie dowiedzieli!

Pajak rozpiął się na tej desce, gdzie król zasiada sam. Z lustra via a via w oczy patrzy mi twarz, że w mordę dać. Krążyć z kąta w kącie, klasnąć dłonią w dłoń, wbiłam głowę w tynek. Nie pomaga nic, z zalu chce się wyć, odkąd ciebie brak. Odkąd ciebie brak, tracę dobry smak, błagam PEPE wróć!

W szczytnym bytowania trudno odnaleźć sens życia. Wszystko właściwie się zgrało. Na pocieszenie pozostaje piwko lub „szlachetna trawka”. Wtedy przyska drżenie rąk, a powraca spokój i pewność siebie — nie to, że krótkotrwała i złudna.

W uparte branie młodzieńczych uprzedzeń i obasz, rejestrowanie wynaturzeń charakterologicznych i dorabianie do nich kontestacyjnej ideologii oceniają się piosenki „Perfectu”, pisanych przez biegłego w temacie Bogdana Olewicza. On też jest autorem innego, nie mniej entuzjastycznie przyjmowanego przez nastolatków tekstu:

Miałem dziesięć lat, gdy usłyszałem o nim świat, W mej piwnicy był nasz klub, kumpel radio zniósł, usłyszałem „Blue Suede Shoes” i nie mogłem w nocy spać. Wiatr odnowy wiał, darowano reszty kar, znów się można było śmiać. W kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdart i ja też chciałem grać...

I choć dzisiejsi 18-letni entuzjaści rocka nie pamiętają (bo niby skąd?) tamtych katakumbowych dla jazzu i rock and rolla czasów, to po pierwszych taktach piosenki rozlega się na każdym koncercie huragan braw i gwizdów. „Autobiografia”, bo o niej mowa, przez kilkanaście tygodni okupowała pierwsze miejsca list przebojów i ma wielkie szanse zostać szlagierem nr 1 minionego 1982 r. Zdaniem słuchaczy „ta piosenka ma w sobie coś ponadczasowego”.

Perfect jest w znakomitej formie. Wszystkie utwory z nagranych, tym razem dla „Tonpressu”, drugiego albumu „UNU” idą jak burza, a perfectowe pamiątki w postaci znaczków, nalepek, plakatów i zdjęć sprzedawane są nierzadko relukwie rock-fanów. Nie dziwi się przeto słowom Zbigniewa Holdysa, określającego „Perfect” najlepszą w kraju orkiestrą rockową. Nie jest to nieskromna przechwałka, tylko zwykłe nazwanie faktu, potwierdzone przez fonografii i organizatorów rockowych meetingów. Każdy koncert „Perfectu” kończy się tym samym — nie milknącym aplauzem podnieconej widowni, skandowaniem nazwy grupy i próbami o bis.

Holdys ma w zanadrzu wiele intrygujących pomysłów i zapewne będzie to uwalniał rozsądnie. Przy stylu pracy, jaki obecnie prezentuje grupa, jest blask na rockowej scenie nie zgaśnie szybko. Realizacja artystycznych planów lidera byłaby niemożliwa bez dobrej ekipy instrumentalnej. Holdys uważa ją za wymarzoną, wymienia więc jej skład: Grzegorz Markowski — śpiew, Andrzej Urw — gitara i elektryczna bębniarka, Andrzej Nowicki — gitara basowa, Piotr Skudelski — perkusja, Zbigniew Holdys — gitara, śpiew.

Załącznik do zyciorysu

— „Zatrzą pocił śliczni / Prawdy sens / Roztrwonili w grach / W półlitrowkach pustych / S.O.S. wysyłają w świat” — śpiewała młodzieżowa Polska największy przeboj zespołu „Perfect” w 1981 roku pt. „Nie placz Ewka”. Ta piosenka oraz „Lokomotywa z ogłoszenia”, „Bia, bia, bla”, „Niewiele ci mogę dać” to tylko znikoma część tytułów piosenek, których jest pan autorem — zwracam się do Bogdana Olewicza.

— W wieku 36 lat nareszcie spełniam swoje marzenie. Dotychczas one oczywiście muzyki rockowej, a ściślej mówiąc pisania tekstów do muzyki, przy której się wychowałem i która fascynowała mnie już od dziesiątego roku życia.

— Dlaczego właśnie rock?

— Widzi pani, poza nielicznymi wyjątkami produkty muzyki rockowej starają się nie kłamać. Szczerść i spontaniczność to naczelną zasadą utworów rockowych, nie ma w nich udawania ani zabawy dla zabawy.

— A jak pan myśli, czy długo będzie trwała powódź, która zalała nasz rynek muzyczny rockiem?

— Tego nie wiem, ale jestem pewien, iż obecna fala rocka za pewno odwróci się w przeciwną stronę w naszej muzyce rozryw-

kowej i żaden zakaz ani nakaz nie jest w stanie wyeliminować rocka z życia muzycznego naszego kraju. Zapewne już wkrótce ilość powstających zespołów przejdzie w jakość, zostaną tylko najlepsi.

— Czy pan nie ma wrażenia, że obecnie wylewa się dziecko razem z kąpielą, negując wszystko, co do tej pory w naszej muzyce rozrywkowej stworzyliśmy?

— Na pewno ma pani rację. Należy do osób, które żyją nie tylko muzyką rockową, czego najlepszym przykładem jest moja wieloletnia współpracownica ze Zdzisławą Sośnicką, znakomitą piosenkarką i wspaniałym człowiekiem. Dzisiaj kontaktem z nią spełniam swoje fascynacje dotyczące duszy kobiecej.

— Co najbardziej pana denerwuje i drażni w tzw. branży?

— Przede wszystkim nieudolność firm fonograficznych, która jest zmorem nie tylko przemysłu rozrywkowego. Nieudolność, o którą potyka się wszyscy, rozbiłają się talenty, rozbiła się marzenie o uczciwej fonografii. Mój przyjaciel, znany kompozytor Rysiek Poznański, stwierdził kiedyś, iż jedynym rozsądnym wyjściem byłoby oddanie firm fonograficznych w ajenność. Ludzie mieliby piwko na czas, a nie jak obecnie w dwa lata po nagraniu, państwo natomiast do chodu, a nie deficyt. Niestety, na razie nie nie posuwa się do przodu. Przed laty drażniła mnie kłukowość, którą rock



na pewno niezapelnie, ale przynajmniej trochę przeczyli. Powiem pani, że wiele spraw przestało mnie już denerwować i drażnić, a zaczęło śmieszyć. Śmieszą mnie niektóre stwierdzenia pracowników kultury, dotyczące umykalności i rozspiewania młodzieży. Wszystko kończy się przeważnie na papierkach. Nie ma instrumentów ani funduszy na ich zakup.

— Wróćmy do pana tekstów. Jest pan autorem bardzo pięknego utworu noszącego tytuł „Autobiografia”, bez wątpienia przeboju numer jeden 1982 roku. Wydaje mi się, że mimo sukcesu coś pana dręczy?

— Niestety tak. Najbardziej męczy mnie prostytucja. Może to zbyt ostre słowo, ale prawdziwe i bardzo adekwatne do „Autobiografii”, „Załącznik do zyciorysu” — pierwszy tytuł „Autobiografii” — to sprzedaż po kawalku samego siebie i może stąd tak ciężko słucha mi się tego utworu kilka razy dziennie.

— No dobrze, ale jak sprzedaż to sprzedaż, my słuchamy do znużenia, a panu rośnie konto w Zalsku.

— Nie taki był cel „Autobiografii”. Poprzedz wielokrotnie odtwarzanie dewaluuje się waga słów użytych w utworze. Jest wiele „numerów”, które przez natrętne lansowanie straciły na świeżości tego, co je wyróżniało wśród innych produktów muzycznych. Oczywiście bardzo cieszę się, iż nie minalem się z odbiorcą.

— Współpracował pan z wieloma wykonawcami. Czy oprócz grupy „Perfect” i Zdzisławy Sośnickiej kogoś pan jeszcze wyróżnia?

— Przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych Krzysztof Krawczyk nagrał w Lublinie longplay w języku angielskim, na który złożyły się słynne standardy rocka i rollowa. Płyta rozeszła się w imponującym tempie. Krzysztof wyjechał, a mnie pozostał żal, iż dopiero po wielu, wielu latach pokazał swoją klasę. Dla mnie był zawsze wokalną śpiewającym znakomicie, ale nie posiadającym odpowiedniego „opiekuna”. Zmarłszy talent i zmarnowana światowa, naprawdę światowa kariera.

— Wiem, że poza pisaniem tekstów planuje pan jeszcze coś ciekawszego. Co to będzie?

— Mam już pomysły na scenariusz filmu z udziałem oczywiście grupy „Perfect”. Nie mogę na razie zdradzać pomysłu, to przyszłość roku już 1983.

Rozmawiała: Agata Arwi

Pocztą literacką

Sylwester U. Lublin. To dobrze, iż dostrzeżę Pan społeczną rolę poezji. Sama poezja nie znosi jednak narzbyt wyraźnych wykładni. Dydaktyka, pouczenie, to raczej domena pedagogów. Czytelnik tego nie lubi. Namawiam więc Pana do umiaru w tym względzie.

Edward K. Wielkie, p-ta Abramów. Dokładnie to samo co wyżej, odnosi się do Pańskich zapisków proza i wierszem. Jedną z Pańskich myśli, które dostrzegłem, głosi: „Jeśli masz już pisać koniecznie, to pisz kromuriale i prosto”. We frasce pt.: „Początek od siedmiu boleści” czytamy: „Jeśli chcesz napisać coś składnie Bacz, aby wyszło to ładnie”. Rzecz w tym, aby Pan odniósł obte te ra-

dy także do własnego piśnia. Koniecznie, jeśli pragnie Pan, aby Pańskie dane nie odmiły otaczającego najbliższego świata u dzieliło się tym, którym Pan pokazuje swoje zapiski. Sumując: wierszyki są zdecydowanie nie, lepsze obserwacje i ujęcia dostrzegiem w małych prozach, ale i tam kłania się Mniszka. Uczciwa rada: pisanie zachowaj dla siebie o druku nie myśląc.

Andrzej R. Lublin. Inaczej mogą obecnie Panu odpowiedzieć niż w minionym roku. Wśród nadających ostatnio 25 wierszy kilka mnie zainteresowało. Są drapieżne, ostre, nie szczędzące także własnego — poetyckiego — ja. W niektórych raz jednak nadmiernie retoryka, przytłumia nielako to, co poetyckie. Porozmawiajmy o tych utworach w najbliższym czasie bezpośrednio w redakcji.

Barbara J. Puławy. Dość długo czekała Pani na odpowiedź, ale do „Pocztą Literacką” listów i utworów przychodzi dużo. Kilka linijek końcowych z wiersza zaczynającego się od słów: „Potrzeba nowego...” zainteresowało mnie. Podobnie rzecz się ma z utworem: „Widziałam ciebie błękitem”. Proszę wybrać większą porcję wierszy i przestać.

TJ

Listy do „Kamieny”

„WITAMY KOCHANEGO HENIA”

CZYTAJĄC artykuł p. Waldemara Piaseckiego „Witamy kochanego Henia” („Kamieny” nr 16, 7-20 listopada 1982), ma się chwilami wrażenie, że czyta się artykuł nie w poważnym dwutygodniku społeczno-kulturalnym, lecz w gośniącej za tanią sensacją popołudniówce, lub że słucha się komentarzy Radia Wolna Europa — tyle w tym artykule jest zjadliwości, niechętności, a tak mało rzetelnej dziennikarskiej roboty, o której ostatnio wiele się mówi. Jako rodzice dzieci z zespołu „Szczygiełki” i współorganizatorzy „teatru” w Poniatowej (jak to rzeczywiście „delikatnie” nazwał p. Piasecki), czujemy się w obowiązku pewne rzeczy sprostować i wyjaśnić, może nie tyle autorowi, ile P. T. Czytelnikom „Kamieny”, gdyż mamy nadzieję, że nasz list zostanie wydrukowany.

Poniatowa przeżywała ostatnio dwie ważne imprezy. Pierwsza — to Wojewódzka Inauguracja Roku Kulturalno-Oświatowego, która odbyła się 16 października. Czy była to impreza udana? Chyba tak, skoro do imprezy wiele osób z władz województwa lubelskiego powtarza, że kultury można się uczyć w Poniatowej. Między innymi występował też zespół „Scholares Minores pro Musica Antiqua”, prowadzony przez p. Danielewiczów. Na inaugurację były oczywiście zaproszone też. Środek masowego przekazu. Mniej więcej w połowie imprezy za telefonowano z Radia, aby się dowiedzieć „jak przebiega impreza”. Pozostawimy ten fakt bez komentarza.

Druga impreza — to przyjazd p. Henryka Baranowskiego. Kim dla polskich dzieci — tych goszczonych przez Henia w Angli i tych wspomnianych przez Niego w kraju — jest p. Baranowski, nie musimy chyba pisać. Jedno tylko trzeba dodać — nawet najmniejszemu 4-latkowi ze „Szczygiełków” p. Baranowski nie pozwala mówić do siebie „Pan” — każe mówić „Henio”. Na dowód załączamy fotokopie kartki własoręcznie napisanej przez p. Baranowskiego, który cały czas koresponduje z dziećmi z zespołu. I z tej korespondencji wiadziomo już w Poniatowej na początku października o przyjeździe Henia i wtedy też rozpoczęto przygotowania do powitania, nie zaś na wieść o autokarze i darach, jak to pisze w swoim artykule p. Piasecki. Stąd i transparent nie mógł być innej treści. A gdy wjeżdżając do Poniatowej Henio ów transparent zobaczył, to ze łzami w oczach prosił, aby przesłać mu ten transparent do Anglii, bo chce go tam powiesić na honorowym miejscu. Zaś skłócenie z imieniem Naczelnika Miasta i Gminy p. Henryka Śmiecha — jest przypadkowe i chyba tylko u ludzi z brakiem poczucia humoru, którego na szczęście Naczelnikowi nie brakuje. Tak więc druga impreza w dniu 23 października była z okazji przyjazdu Henia i wroczenia Jemu i Jego żonie Medalu Komisji Edukacji Narodowej. Na tę imprezę również były zaproszone środki masowego przekazu. Telewizja, owszem, była... o godz. 12-tej. Stwierdzili, że mają czas jedynie do godz. 14-tej, a że do tej pory Henio nie nie zjawiał, więc się zwinęli i pojechali. Ostatnio — czy to dla Telewizji Lubelskiej — także ważne, że wybitny działacz polonijny będzie goszczony przez znany w wielu krajach Europy zespół i otrzyma z rąk przedstawicieli Ministerstwa Oświaty i Kultury jedno z najwyższych odznaczeń państwowych? Przedstawiciel Radia też trudno by się było w sobotę, 23 października doszukać w Poniatowej. Ale mimo to impreza odbyła się i była tak spontaniczna i wzruszająca, że płakał nie tylko Henio i dzieci na scenie, ale również widzowie i zaproszeni, a obecni na sali goście. Tego nie da się opisać — to trzeba było zobaczyć, przeżyć lub choć postuchać w radiu, bo żadne słowa tu nie wystarczą. Zwłaszcza, jeśli chce się o tym wszystkim dowiedzieć „coś więcej” dopiero po dwóch dniach. A De trudu

wiezieli w przygotowaniu p. Danielewiczowie — wiedzą tylko oni sami, tym bardziej, że w grę wchodziły dwie imprezy w odstępie tygodnia. Przecież w czasie powitania Henia na scenie było ponad 200 dzieci, z których najmłodsze miało ledwo 4 lata, a wszystkie znaly swoje miejsca na scenie, wiedziały, co i kiedy mają robić, mówić i śpiewać.

Nie ma się więc co dziwić zniechęceniu p. Danielewiczów, a przede wszystkim rozgoryczeniu na skutek takiego właśnie stosunku do ich pracy i do zespołu radia, prasy i telewizji. Przejawy takiego traktowania spotkały ich już znacznie wcześniej. Trudno bowiem doszukać się informacji o zespole i jego znaczących sukcesach w krajach całej Europy, choć o wyjątkowym charakterze zespołu „Scholares...”, o orku dzieci w stylowych strojach, grających, tańczących i śpiewających muzykę dawną rozpisywały się na pierwszych stronach choćby centralne dzienniki w Belgii podczas tournée zespołu w dniach 26 czerwca — 3 sierpnia br. W czasie tego wyjazdu, w tak trudnym dla nas Polaków okresie, zespół dał w sumie 43 koncerty w Belgii, Wielkiej Brytanii i RFN, dobrze stawiając imię Polski, polskiej kultury i polskich dzieci z Poniatowej. No cóż, „cudze chwaleć, swego nie znać...”

Trudno też dziwić się kierownictwu zespołu, gdyż poszukiwanie przez pp. Redaktorów w poniedziałek 23 października w Poniatowej „kompetentnych osób, które opowiedziałyby coś więcej”, jak to pisze p. Piasecki, miało od początku jednoznaczny i określony charakter: poszukiwania niezdrzonych sensacji, do czego autor sam się przyznaje „cytujac” rozmowę z p. Danielewiczami (cudzysłowy użyty umyślnie, rozmowa nie jest cytowana dosłownie, jak również nie jest cytowana dosłownie wypowiedź p. Aleksandry Rojek, której sens został znacząco wypaczony — co można sprawdzić, bo rozmowa była nagrana).

I to wszystko w czasie, gdy tyle się mówi o potrzebie rzetelnej i pełnej informacji w środkach masowego przekazu.

Rodzice i dzieci z zespołu „Szczygiełki”

Poniatowa, dnia 23 listopada 1982 r.

Z listu wynika:

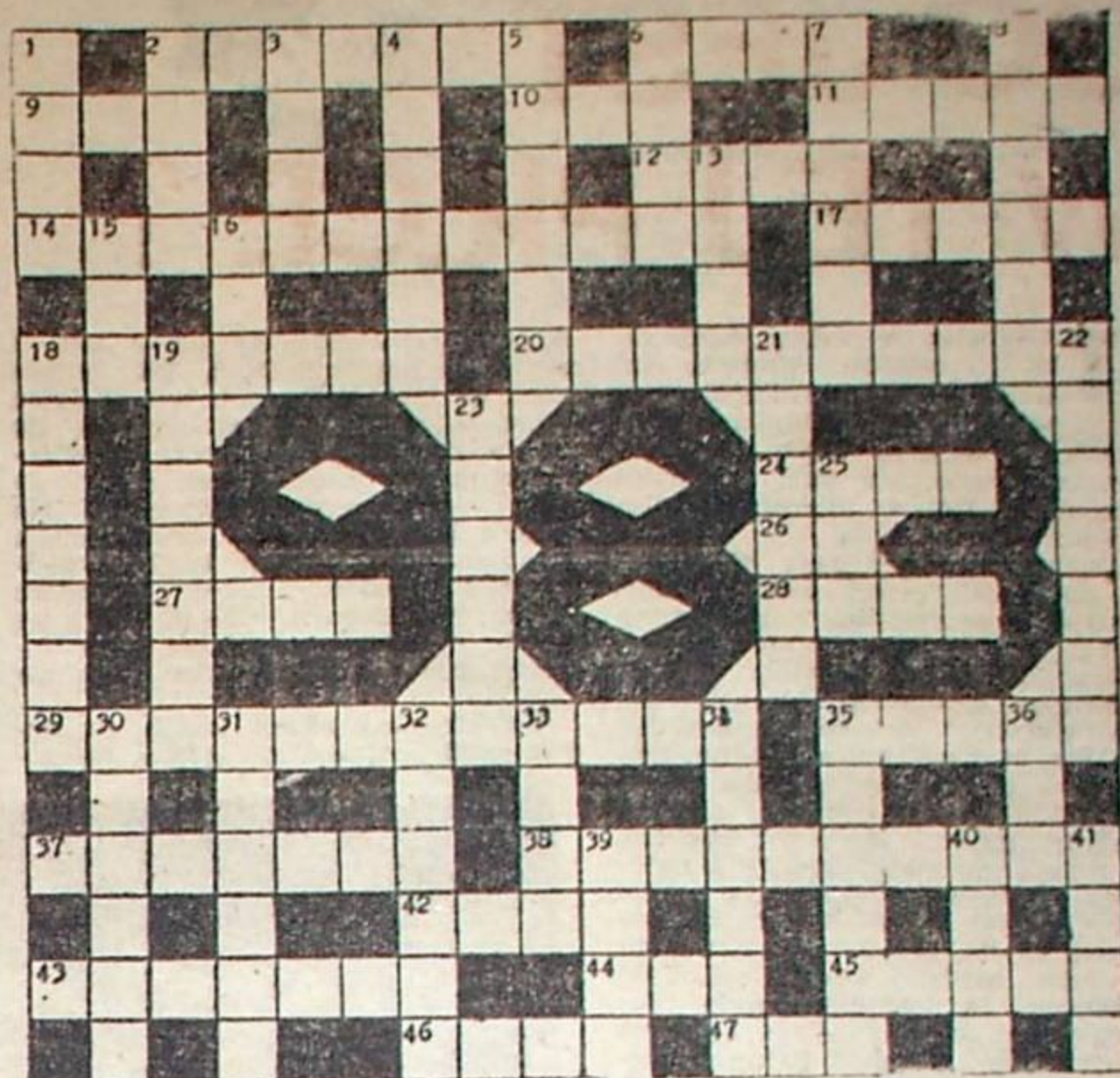
- 1) że „Kamieny” została porównana do Wolnej Europy;
- 2) „Poniatowa przeżyła ostatnio dwie ważne imprezy”;
- 3) Pan Henio jest bardzo sympatyczny i zasłużony dla Poniatowej;
- 4) Pan naczelnik Henryk Śmiech ma poczucie humoru.

Wszystko to oczywiście nie ma nic wspólnego z sensem relacji red. Piaseckiego, który to sens autorzy listu bezmyślnie ignorują, a tym samym ciągną dalej malomiarstewkowe „jasełka” związane z przyjazdem p. Baranowskiego do Poniatowej.

Zyczymy dobrego samopoczucia w Nowym Roku wszystkim pięciu autorom listu podpisanym czcownie oraz trzydziestu szczęśliwym podpisany nie-czcownie.

(Red.)

KRZYŻÓWKA NOWOROCZNA



POZIOMO: 1. imię ostatniego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, 6. przezjysta tkemina, 9. popularny kanton szwajcarski, 10. część nogi, 11. świąteczny ptak z borówkami, 12. kojarzy małżeństwo, 14. pisarz polski i etnograf, prezes PAA, 17. wysoki wybór, 18. ludowy fartuch, 28. poeta polski, który ma swe muzeum w Praniu, 21. dyscyplina sportowa, 25. bije króla, 27. żniwne narzędzie, 28. Strauss napisał ich wiele, a Chopin kilka, 29. Syrokomla, 35. kieryk, 37. warszawski tygodnik, 38. pisarz polski, popularny dramaturg, autor „Operetki”, 42. orok, 43. stopa wiersza składająca się z dwu długich sylab, 44. głównodowodzący Poludnia w amerykańskiej wojnie domowej, 45. norweski dramatopisarz, autor „Dzkiej kaczki”, 46. góry w Ameryce, 47. trzeba sześć wygrać na seta.

PIOWO: 1. letno, 1. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla, 2. znany polski aktor filmowy okresu międzywojennego, 3. złudzenie, 5. pisarz niemiecki, autor znanych biografii m.in. Napoleona, 6. produkt pszczoły, 7. czasopismo gdańskie, 8. dwuczęściowy ołtarz, 13. masowe zgromadzenie ludności, 15. rzeka na Pomorzu Zachodnim, 16. siostra i żona Kronosa, 18. na kopercie

8. listem, 18. poeta rosyjski, przyjaciel Mickiewicza, 21. mniejszy bal, 23. dramat Krasieńskiego, 24. bóg słońca, opiekun muz, 25. kąśliwy owad, 30. drobne zakątki kniei, 31. Kościeliska lub Chochołowska, 32. historyczna kraina na obecnym terenie Bułgarii, Turcji i Grecji, 33. jeden z gwiazdozbiorów, 34. drobna operacja, 35. list bez podpisu, 38. słoń, 39. lotnisko pod Paryżem, 40. rzeka z twórczością Miłosza, 41. strefa.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-650 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1

POZIOMO: Orkan, Gorki, ludor, zwłoka, Homole, Senegal, uzda, Berezyna, Charków, leje, kwiaton, alkohol, Wars, rozstaw, krzemień, aria, neseser, Probus, rzyako, Nemrod, rdost, kadet.

PIOWO: Oicha, Niemcewicz, Orzeszkowa, kołtun, opinia, krag, kasacja, Kalewala, Zaleski, Helespont, Kahlenberg, Skarbnik, Nawarra, Tempis, rapsod, osada, Sand.

Nagrodę w wysokości 500 zł wylosował Jan Samulnik, ul. Marchlewskiego 61a/62, 81-031 Warszawa.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Zapytano swego czasu Rivarela, dlaczego poeta M. popełnił samobójstwo?

— Do życia trzeba znacznie więcej istotnych powodów, aniżeli do śmierci — brzmiała odpowiedź.

Piron pojechał do Brukseli, aby poznać Rousseau. Ten zaprosił go na spacer. Kiedy byli z miastem, zabrzmiały dzwony wieczorne. Rousseau uklęknął aby odmówić modlitwę.

— Co pan robi, panie Rousseau? — zapytał Piron. — Przecież nikt nas nie widzi oprócz Boga!

Kiedy w pewnym towarzystwie Wolter mówił pochlebnie o pisarzu szwajcarskim Hallerze, obecny przy tym rodak Hallera zaznaczył, że pisarz całkiem inaczej myśli o Wolterze.

— Zapewne mylimy się obaj — odparł Wolter.

Oscar Wilde opuszczał rankiem 19 maja 1897 r. więzienie, po dwóch latach tam pobytu. Powitała go grupka najwierniejszych przyjaciół, wśród których pani Leverson z mężem. O. Wilde, zobaczyczy ją, powiedział:

— Jak to cudownie, że pani zgadła, jaki kapelusz trzeba włożyć o siódmej rano na powitanie przyjaciela, który był tak długo nieobecny.

Dyrektor teatru, w którym Tristan Bernard wystawił nową sztukę, zwrócił się do o podanie kilku dat biograficznych do programu. Tristan Bernard rozpoczął: „Urodzony w roku 1866 w Besancon. Na jego domu rodzinnym znajduje się tablica... towarzystwa asekuracyjnego „Słońce”.

Wybrał Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimiera Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Saworski (redaktor naczelny), Erymuni Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bodek, Mirosław Demicki, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Piasecki, Waldemar Kiepski (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Ojczak, korektor — Marianna Obłosa.

Redakcja nie wraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.

Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jaśna 1, tel. 133-80.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Orlaka 6. PL ISSN 0137-9100 Nr 1/1983. Adres redakcji: 20-623 Lublin, ul. Skłodowskiej 84.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 239-82, sekretarz redakcji 218-82, dział publicystyki i literacki 278-88.

Korespondencje rzytkie prosimy kierować pod adresem: 20-338 Lublin 1, skrytka pocztowa 621 pocztowo i obywatelsko — pod adresem redakcji.

Zam. 1407. V.IX.1983 r. N-4

CO JEST W TEJ PIŁCE?



TAK więc w wieku dziesięciu lat zostałem trampkarzem WKS „Ślask” Wrocław, co poczytywałem sobie za wielki zaszczyt; i fakt, że takich jak ja było może dwustu, nie miał żadnego znaczenia. Byłem w „dorostym” klubie i już!

Trenowaliśmy dwa razy w tygodniu, po mniej więcej dwie godziny. Mieszkałem w centrum miasta, a na treningi trzeba było dojeżdżać na Stadion Olimpijski. Bagatela: 10-12 kilometrów. Tramwajem jechało się chyba godzinę i piętnaście minut, jak nie było żadnych przeszkód na trasie. Żeby zdążyć, wychodziłem z domu profilaktycznie dwie godziny przed treningiem. Mama sprawdzała, czy jestem porządnie ubrany i najedzony. Bardzo przeżywała ten mój start piłkarski i interesowała się postępami. Myślała, że miała w tym również inną, bardziej ukrytą cel. Taki mianowicie, że dokładnie mogła wiedzieć, co się ze mną dzieje, i że, na przykład, nie „grandze” (jak się wtedy we Wrocławiu mówiło), nie wystając po bramkach i nie czekając na okazję do rozróbów.

Po treningach wracałem około ósmej wieczorem. Jadłem kolację i szedłem spać. O odrabianiu lekcji nie było już mowy. Jak nie zdążyłem ich zrobić przed treningiem, po prostu przepisywałem następnego dnia od kolegów koleżanek na przerwach. W sumie jednak piłka nie przeszkadzała mi w nauce. Uczyłem się niezłe, choć nie tak jak bym mógł i jak by chciał ojciec. W tym czasie do kontaktów ze szkołą wyznaczona była przez rodziców moja siostra Danika, wówczas już dwudziestoletnia panna. Chodziła na wywiadówki i potem często „krwila” moje potknięcia naukowe. Wiele razy jeździła ze mną na mecze i napominała, abym uważał na siebie, nie biegał za szybko, nie kopał za mocno itd.

No, ale o samych treningach... Polegały one na wpajaniu nam abecadła piłkarskiego. Podstawowych uderzeń, przyjęć piłki, podań, a także pewnych elementów taktyki. To ostatnie sprowadzało się do tego, żeby uświadomić bandzie dziesięcio-, jedenasto-, dwunastoletków, że w futbolu obowiązują pewne formacje, i że systemem podwórkowym, czyli takim „jeden-dziesięć” (bramkarz i reszta ugniatająca się po całym boisku) daleko się nie zajeżdża i mało zwojuje. Trener Kromiszewski po prostu zmuszał nas do dyscypliny na boisku. Pamiętam dobrze jak zawsze przy kompletowaniu składów były kłopoty z obsadzeniem bramki i obrony, nieco mniejsze z pomocą, za to do ataku pchali się wszyscy. Ponieważ byłem nad wiek wyrośnięty, jak tylko Kromiszewski, sam zresztą bramkarz, mnie pierwszy raz zobaczył, zaczął wspominać o bramce. Akurat była to ostatnia pozycja, na której się widziałem. Robiłem więc różne uniki. Kiedy pytał, gdzie kto chce zagrać, bez namysłu zezwalałem się na obronę, bo tam miałem pewne miejsce. Jakoś to na razie przechodziło...

Trampkarze „Ślaska” oczywiście grali ze sobą i rywalizacja była bardzo ostra. Nie chodziło tu bynajmniej o sam sport, a także o swego rodzaju reklamę. Co sobotę graliśmy między sobą i najlepsza drużyna wyznaczana było do... podawania piłki w niedzielę, podczas meczu II-ligowego zespołu klubowego. To była frajda. Na mecze przychodziło wówczas 15-20 tysięcy widzów, którzy dopingowali swoich pupilów. W przerwie natomiast na boisko wybiegaliśmy my i grali. Za wszelką cenę chcieliśmy pokazać się z ja' najlepszej strony, bo wszystkie udane zagrania kwitowano oklaskami. Było to dla nas wielkim dopingiem i wielką motywacją i jeszcze jedno. Wszystkie swoje mecze tramparskie graliśmy oczywiście w trampkach, ale do podawania piłki dostawaliśmy prawdziwe korki. Stare, zniszczone po piłkarzach, ale prawdziwe. Każdy dobierał je z wielkim nabożeństwem, starannie wiązał. A potem, kiedy już wracaliśmy do

domów, szpanowaliśmy przed sobą i przed innymi kumplami, jak to nas nogi, od tych korków, boją i w ogóle jakie to mamy te nogi krzywe. Bo wtedy każdy dobry piłkarz obowiązkowo musiał mieć krzywe nogi i do tego jeszcze to demonstrować. No więc i ja chodziłem na zewnętrznych stronach stóp, żeby je trochę podkrzywić i dodać sobie splendoru wśród rówieśników. Chciało się po prostu czymś na tej swojej ulicy imponować i ja imponowałem właśnie tym.

Zwykle przy okazji takich wspomnień musi pojawić się sprawa boisko-



Drużyna juniorów „Gwardii” Wrocław. W czarnym swetrze Jan Tomaszewski.

wych wzorów idoli, ideałów. Nie będę mówił, że był to Cieślak i jego generacja z ówczesnej reprezentacji Polski. Ja po prostu nigdy Cieślaka na stadionie, w grze nie widziałem. Naturalnie wiele słyszałem o tym zawodniku, ale to do mnie nie przemawiało. Może gdyby była wówczas telewizja. Moje wzory były i mniej sławne. Dziś pewnie, poza starszymi kibicami „Ślaska”, nazwiska te mało komu co mówią. Jurecki, Krawiarz, bracia Stachowiakowie, Bożko, mój kuzyn Zalewski. Ale wtedy dla całego sportowego Wrocławia to było coś! Pamiętam, z jaką uwagą i nabożeństwem obserwowaliśmy, my chłopaki od podawania piłki, ich grę, strzały, bramki, ich porażki, kontuzje.

„Podstawówkę” ukończyłem mając trzynaście lat, nawet jeszcze niepełne. Rodzice posłali mnie do szkoły o rok wcześniej, bo byłem wyrośnięty

i „rozwinęty nad wiek”. Byłem zawsze najmłodszy w klasie, koledzy i koleżanki bardzo mnie lubili. Taki pupilek klasowy byłem i wiele „numerów” przechodziło mi bezkarnie. Nauczyciele też mnie lubili, sam nie wiem za co, bo ani nie byłem bardzo dobrym uczniem, ani lizusem; grzeszność i ukladność też były mi raczej obce. Zresztą w późniejszych latach kariery sportowej koledzy z boiska i trenerzy też nie narzekali na mnie, a raczej odwrotnie. No może poza kilkoma wyjątkami, o których sobie powiem kiedy indziej. Mówię o tym wszystkim, bo myślę, że wtedy kształtowała się moja osobowość, charakter, że wiele z tych lat szczeniackich wyniosłem i potem w zasadzie już się nie zmieniałem. Rozwijałem się, doroślałem, krzepłem, ale zmieniałem się mało. Z lat szkolnych chciałbym wspomnieć także pewien fakt, może trochę zaskakujący. Otóż byłem wtedy mało sprawny i kiepsko wygimnastykowany, raczej powolny. Wiele ćwiczeń na wuefie sprawiło mi kłopoty. Nauczycielem naszym był pan Wołoszyn, były koszykarz wrocławskiej „Gwardii”, który widząc moje warunki fizyczne raczej nie gonił mnie do gimnastyki a starał się wykorzystać mój wzrost i siłę ina-

Koszalińskim byliśmy na pierwszym miejscu w klasie, a na drugim miałem już dwie „lufy” i spadłem bardzo nisko. W szkole bywałem raczej rzadko. Chodziłem natomiast z kolegami do kin wrocławskich i oglądałem, co się tylko dało. Wizało się to z pewnymi emocjami, bo po kinach chodziły kontrole z kuratorium i łapały takich jak my, wagarowiczów. Kilkakrotnie musieliśmy wiać, ale złapać się nie daliśmy ani razu. Po drugim okresie, kiedy siostra Danika „przekablowała” rodzicom po wywiadówce moje szkolne „sukcesy”, o piłce mowy być nie mogło. Trzeba było myśleć, żeby się zabrać do następnej klasy. Tak też się stało. Byłem nawet w pierwszej dziesiątce uczniów, ale w granii i dla grania rok był stracony.

Po pierwszej klasie szkole naszą wprowadzono z Technikum Energetycznego do Technikum Chemicznego. Budowa, a właściwie wykończenie naszej szkoły przeciągało się. Nasz nowy gospodarz wcale się „elektronikami” nie przejmował i zarządził, że będziemy chodzić na popołudnie. Co to oznaczało? Wiadomo. Koniec piłki. Tak więc rozpoczął się drugi rok bez — praktycznie — grania. Pozostawał mi tylko SKS, na który chodziłem



Juniorzy „Gwardii” na zgrupowaniu w Karkonoszach. Jan Tomaszewski — w środku.

czaj. Grałem w reprezentacji szkoły w kosza i występowałem w drużynie lekkiej atletyki, w rzucie piłeczką palantową. Oczywiście taki układ był mi bardzo na rękę, ale potem trochę mi on wyszedł bokiem.

Skończyłem szkołę podstawową i praktycznie skończyłem z piłką. Dlaczego? Poszedłem do Technikum Elektrycznego, tworzono akurat przy Technikum Energetycznym. Chodziłem na rano, a trenowałem po południu już trzy razy tygodniowo. Nie miałem jednak w drużynie skrytaliczowanej pozycji: ni to obrońca, ni to bramkarz. W efekcie „grzałem” ławkę, bo się nie mieściłem w pierwszym składzie. To mnie zniechęcało. Doszła do tego „wolność” związana z przejściem do szkoły średniej. W efekcie rozpoczął się dla mnie czas wagarowo-rozwinkowy. Po pierwszym okresie wspólnie z kolegą Waldkiem

chętnie grałem w piłkę ręczną, w siatkówkę i starałem się ćwiczyć techniczne konkurencje lekkoatletyczne, przede wszystkim pchnięcie kulą. Przygotowanie siłowe w tej ostatniej konkurencji przydawało mi się bardzo.

W następnym roku los się do mnie uśmiechnął. Znowu zresztą za sprawą brata ciotecznej Leszka Zalewskiego. Otóż zakończył on występy w „Ślasku” i przeniósł się do wrocławskiej „Gwardii” grającej w A-klasie. Oprócz gry w pierwszym zespole, Leszek trenował także juniorów tego klubu. Ponieważ brakowało mu bramkarza, a i widział jak mi tej piłki brakuje, zaproponował mi trenowanie, a ja się oczywiście długo nie namyślałem. Tak więc jako piętnastolatek zacząłem po raz drugi przygodę z futbolem.

W 1963 r. kuzyn zaczął trenować pierwszą drużynę „Gwardii” a juniorów wziął... Jan Tomaszewski. Autentycznie!!! Był on zawodnikiem pierwszej drużyny i był ode mnie równie dziesięć lat starszy. Pod jego kierunkiem rozegrałem swój pierwszy, prawdziwy mecz. Oczywiście pamiętam to jak dziś...

Graliśmy z „Odrą” Wrocław na jej boisku. Był wrzesień 63-go. Do tej pory mecze między naszymi drużynami kończyły się bardzo wysokimi wynikami (np. 8:6 7:9 8:8). „Gwardia” dużo strzelała, ale też sporo traciła. Po prostu bramkarz grał na tej pozycji z konieczności. Mecz ze mną w bramce był już nieco inny. „Gwardia” wygrała 1:0 a ja byłem najlepszy na boisku. Bronilem dosłownie wszystko. Jak w transie. Takich meczów w życiu miałem kilka, ale ten właśnie był pierwszy i dał mi pierwszy smak sukcesu, zadowolenia z siebie. No, czegoś, co trudno opisać.

Ostatecznie w lidze terenowej juniorów zajęliśmy pierwsze miejsce, tracąc zaledwie dwie bramki (w tym jedną z karnego). Na swoim boisku nie puściłem ani jednego gola. Stałem się oczywiście pupilkiem drużyny, mimo że byłem w niej najmłodszy. Po sześciu meczach w „Gwardii” trafiłem też do reprezentacji juniorów Dolnego Śląska. Był to pierwszy wypadek w historii, aby dostał się tu zawodnik z drużyny A klasowej. Ten właśnie moment uważam za przełomowy dla mojej kariery zawodniczej. Od tego czasu zacząłem traktować to moje granie, jako prawdziwe i snuć jakiegoś plany z tym związane.

(c.d.n.)